RODZINA I DZIECKO



N. 10

CZASOPISMO ZESPOŁU RODZICÓW

TREŚĆ:

NR 10 GRUDZIEŃ 1937 ROK II

RODZINA I DZIECKO

CZASOPISMO ZESPOŁU RODZICÓW

Irena Gombrowicz.

JEST GWIAZDKA!

W natłoczonym autobusie panuje nastrój ponury. Na dworze jest ciemno, pada drobny deszcz. Ulice pokryte są lepkim błotem. Ludzie zmęczeni całodzienną pracą, przygnieceni swymi troskami i kłopotami w milczeniu patrzą przez zapotniałe szyby Na jednej z ławek siedzi mała dziewczynka ubrana w białą szubkę i białą czapeczkę. Siedzi poważna, grzeczna, onieśmielona widać tyloma obcymi twarzami. A może dziecko wyczuwa atmosferę przygnębienia i niechęci otaczających ją osób. Autobus zatrzymuje się na przystanku przed silnie oświetloną wystawą sklepową. Mała prostuje się nagle, chwyta swą opiekunkę za rękę i nagle rozlega się tryumfujący, dziecinny głos: „A widzisz! Jest gwiazdka!"

Wszystkie oczy zwracają się w stronę sklepu, w którym króluje na wystawie wielka, złota gwiazda. Nie sposób nie uśmiechnąć się do małej zachwyconej osoby w białej szubce, a z tym uśmiechem coś się zmieniło w ponurym autobusie. Pogodniej, przyjemniej patrzą przed siebie oczy zmęczonych pasażerów, bo przecież... „jest gwiazdka!"

Tak, już nadchodzi, już jest bardzo blisko. Ręce licznych rzesz uczniowskich gorączkowo wykreślają dni z kalendarza, Święta zbliżają się szybko, a z nimi dni wolne od nauki, ślizgawka, narty, dla młodszych choinka. To młodsze bractwo przechodzi wielkie emocje na temat, czy aniołek i św. Mikołaj okażą się dostatecznie domyślni, czy położą pod choinkę właśnie ten wymarzony podarunek. Lepiej się zabezpieczyć, a więc z wielkim nakładem pracy i kleksów, pisze się list do świętego, w którym wyraźnie podane są dezyderaty: lalka czy łyżwy, farby czy samochód nakręcany. List ten trzeba dokładnie spalić w piecu: wtedy wraz z dymem idzie prosto do nieba, do adresata, praktyka jednak wykazuje, że bezpieczniej, jeżeli go przedtem przeczyta mamusia.

Śmiejemy się my, ludzie dorośli, pozbawieni złudzeń. Śmiejemy się... a robimy to samo. I my również z niecierpliwością oczekujemy świąt. I my dzielimy czas na: „przed świętami" i „po świętach" i my kleimy jakieś łańcuchy kolorowe z naszych pragnień i oczekiwań, a potem z rozczarowaniem stwierdzamy, że łańcuchy były z... papieru. Święta mijają zostawiając często wrażenie zawodu, czegoś co się nie dopełniło. Nieraz udziela się to i dzieciom, które wracając do szkoły po feriach stwierdzają, że właściwie „było nudno".

Jest jednak jakaś głębsza przyczyna, dla której okres Bożego Narodzenia budzi w nas ten dziwny niepokój i wprowadza w nastrój oczekiwania. Jest powód, dla którego w tym czasie chwytamy się gorączkowo symbolów, starając się za ich pomocą wytworzyć atmosferę głębszą, cieplejszą, atmosferę miłości rodzinnej i wzajemnej życzliwości. Przyczyna ta leży w spełnieniu najgłębszej tajemnicy, której pamiątkę teraz obchodzimy, tajemnicy przyjścia na świat Boga-Człowieka. Tak jak przed wiekami ludzkość wielkim głosem wołała o przyjście Zbawiciela Świata, tak teraz, w tym właśnie czasie, budzą się w nas głęboko ukryte, ale zawsze trwające uczucia tęsknoty za Prawdą i Miłością. Mimo woli — często podświadomie oczekujemy jakiejś zmia-

ny, oczekujemy spełnienia czegoś wielkiego... i budzimy się zawiedzeni, z uczuciem pustki.

A jednak od nas właśnie zależy spełnienie naszych pragnień. Bo instynkt dzieci jest słuszny i upragniona „gwiazdka" niesie z sobą dary bogate — tylko trzeba umieć je odnaleźć. Trzeba sięgnąć głębiej, niż wypoczynek i miłe spędzenie czasu, głębiej nawet niż nastrój rodzinny i doszukać się w Święcie Bożego Narodzenia pierwiastków wiecznej prawdy.

„Chwała Bogu na wysokościach, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli" — oto program świąteczny. Dobra wola w stosunku do Boga, który stał się jednym z nas. Dobra wola w pełnieniu Jego służby. Pokazanie dzieciom, że dzień Bożego Narodzenia to przede wszystkim święto Bożego Dzieciątka w żłobku, u którego gromadzimy się wszyscy starsi i młodsi przynosząc Mu w darze to, co mamy w duszy najlepszego: miłość Boga i ludzi. Z tej miłości dopiero wypłynie prawdziwa, wzajemna życzliwość, ta życzliwość, która jest podstawą dobrego obcowania ludzi ze sobą. Znajdziemy wtedy prawdziwe akcenty w stosunku do tych najmniejszych, z biciem serca oczekujących momentu zapalenia świeczek na choince i do tych starszych, z którymi tak trudno nieraz sobie poradzić i do tych najstarszych, tak często nas raniących i których my tak często ranimy. I otrzymamy wtedy w pełni pokój obiecany ludziom dobrej woli.

Nie dla wszystkich święta są okresem radosnym. Dla wielu są to chwile bardzo ciężkie i smutne, chwile wspomnień tych, którzy już odeszli, chwile w których tragiczniej niż kiedykolwiek występuje walka o byt, o przyszłość. Ale miłosierdzie Boże, którego wyrazem jest żłobek ze Świętym Dzieciątkiem obejmuje wszystkich i czuwa nad wszystkimi: w momencie najcięższym trzeba uśmiechnąć się z ufnością i pamiętać, że „jest Gwiazdka".

Dr Andrzej Niesiołowski.

W OBLICZU WIELKIEJ TAJEMNICY.

Jest to zjawisko znane i naturalne, że w dzieciach naszych pragniemy widzieć ciąg dalszy nas samych. Chcemy, by poszły one po linii rozwoju, którą im nasza myśl zakreśliła. Szczególnie ojciec, który z natury rzeczy bardziej jest nastawiony na zewnętrzną działalność, pragnie, by jego syn podjął jego dzieło, by przejął po nim warsztat pracy, by utrzymała się ciągłość tradycji rodowej, a często, coraz częściej, by i w działalności społecznej czy politycznej pozostał wierny „wierze ojców". Zwykle łączy się z tym nadzieja, że syn pójdzie d a l e j, że nawet przewyższy ojca. Na ogół chętnie w nadziejach naszych pozwalamy synowi — ojca przerosnąć, byleby szedł po „linii generalnej" naszych przekonań i naszych marzeń.

Jest rzeczą nie mniej powszechną i nie mniej naturalną, że te nadzieje tak często zawodzą. Nieraz wprawdzie p o z o r n i e marzenia ojca się ziszczają. Syn przejmuje po nim zawód, kontynuuje jego działalność, służy tym samym „bogom" partyjnym — a jednak jest on tak bardzo inny, że ta wyśniona harmonia dwóch pokoleń w rzeczywistości szarego codziennego życia zamienia się w jedno pasmo nieporozumień, które narastają jako urazy psychiczne i zatruwają atmosferę domu.

A jest to przecież wypadek wyjątkowy, gdy marzenia rodziców się ziściły. Regułą prawie jest jednak taki obrót rzeczy, że dzieci idą w zupeł-

nie innym kierunku, niż tego pragnęli rodzice, zwłaszcza bardziej skłonny do narzucania swej woli ojciec. Dotyczy to najpierw samego zawodu. Ileż to było tragedii np. na temat narzuconego przez rodziców stanu duchownego; na tym odcinku wprawdzie sytuacja się bardzo zmieniła, bo szczególnie na wsi, u ludu, który niegdyś uznawał karierę duchowną syna za jedyny cel godny tak wielkiego wysiłku jak posyłanie go do gimnazjum, łącząc z tym zwykle obok religijnych i materialne wyliczenia („kto ma księdza w rodzie, nie siedzi o głodzie"), dziś uznaje się i inne zawody, a seminaria duchowne gruntowniej badają kwestię powołania. Powoli toruje sobie obecnie drogę zasada nienarzucania swej woli w kwestii wyboru zawodu. Lecz często jest to norma abstrakcyjna, która nie przeszkadza temu, że w rzeczywistości wywiera się nacisk i narzuca swoje ideały czy wyliczenia.

Gorzej jeszcze przedstawia się sprawa p r z e k o n a ń politycznych czy światopoglądowych. Tu różnice są czymś naturalnym. Wynikają one z różności postawy duchowej pokoleń, z naturalnej skłonności młodych do postępowości a starszych do konserwatyzmu (konserwatyzm może też odnosić się do radykalnych zasad własnej młodości, które już uległy skrzepnięciu). Tragizm sięga tu o wiele głębiej, bo ideologowie nakładają o b o w i ą z e k apostolstwa, wynikający z przeświadczenia o słuszności własnych zasad. Tymczasem aż nazbyt częste to zjawisko, że jakiś stary i zasłużony na swym terenie działacz nie może pozyskać własnego syna.

Czy istnieje możność urabiania światopoglądowego czy też kierowania rozwojem swych dzieci?

Z góry narzuca się odpowiedź, że t e c h n i k a oddziaływania, stosowana w domowym wychowaniu, jest tak jeszcze prymitywna, że na podstawie jej wyników nie można niczego przesądzać.

Niewątpliwie, znajomość pewnych elementarnych prawd socjologicznych i psychologicznych mogłaby zapobiec wielu bardzo klęskom na tym odcinku. Obserwujemy więc np. wybitnego filologa, który sam zajmuje się techniką wychowania i przejęty jest do głębi miłością świata starożytnego. A syn nienawidzi filologii jak zarazy. Dlaczego? Bo ojciec jego, nie licząc się z naturalnymi zainteresowaniami chłopca, narzucał mu pod grozą kary tę filologię, nie mogąc przeboleć, że j e g o syn ma mieć niedobre stopnie akurat z jego przedmiotu. U chłopca wytworzył się uraz psychiczny. Gdyby ojciec był nie stosując żadnego nacisku starał się chłopca zainteresować tematami antycznymi od strony anegdotycznej lub krajoznawczej, byłby może osiągnął to, że w pewnym momencie zainteresowanie mogło się obudzić, choć z pewnością nie w tych granicach, by chłopiec obrał sobie zawód filologa. Wytwarzanie urazów przez narzucanie i kary, to błąd najelementarniejszy. Każdy nacisk zawsze budzi odruch. Można na tej drodze uzyskać pewne czyny, ale nigdy nie wytworzyć dążenia. Są naturalnie dziedziny, gdzie wymuszone czynności przejdą z czasem w przyzwyczajenie. Dotyczy to jednak jedynie czynności mechanicz-

nych, jak mycie zębów czy rąk przed jedzeniem. Chodzi tu o rzeczy, które nie budzą zastrzeżeń przekonaniowych, choć i tu nieraz rodzi się irracjonalny bunt. W kwestii przekonań czy zainteresowań reakcje te są najczulsze. Nawet jakieś ostrożne próby przekonywania budzą aż nazbyt często (jeśli nie zawsze) odruchy zniechęcenia. Można jednak zdobyć się na metody o wiele subtelniejsze, na podsuwanie książek, wytwarzanie atmosfery wychowawczej środowiska i przede wszystkim wciąganie w aktywność własną czyli dopuszczanie dziecka do współdziałania w działalności starszych. Metodzie tej dawne wychowanie, szczególnie u ludów pierwotnych, zawdzięcza to, że udawało mu się osiągnąć rzecz dla nas niedostępną, by młodzi przejęli system wartości starszych w formie niezmienionej. Wynik nie da się jednak nigdy w pełni przewidzieć. Jabłko aż nazbyt często pada daleko od jabłoni. Nasze dzieci częściej idą w kierunku przeciwnym, niż ich rodzice i rzadko stają się ich kontynuatorami. Umiejętność wychowania tylko w pewnych granicach może temu zaradzić.

Stajemy tu w obliczu wielkiej tajemnicy. Tajemnicy indywidualności ludzkiej.

Nie prędko jeszcze nauka będzie nam mogła tę tajemnicę wyjaśnić. W płaszczyźnie antropologicznej tłumaczą się pewne tylko kwestie temperamentu i wrodzonych skłonności, które mają jednak jedynie bardzo ogólny charakter. Trzeba tu oczywiście brać pod uwagę prawa, które nam tłumaczą pojawianie się cech, które charakteryzowały dziadków czy pradziadów, a nie występowały u rodziców. Trzeba też liczyć się, oczywiście, z krzyżowaniem się rodu matki i ojca. Warunki poczęcia, szczególnie wpływ alkoholu czy chorób dziedzicznych, to wszystko też ma swoje znaczenie. Nie wytłumaczą nam jednak te czynniki nigdy treści dążeń duchowych, lecz najwyżej pewne cechy konstytucyjne i niektóre właściwości charakteru. Więcej można wytłumaczyć z przeżyć młodości, z wpływów kolegów, lektury, „ducha czasu", nauczycieli, i różnych przeżyć. Pozostaje jednak zawsze pewna niewytłumaczalna reszta, którą uznać musimy za daną nam już cechę wrodzoną osobowości.

W obliczu tej postawy wewnętrznej nawet najbardziej racjonalne wychowanie stanąć musi bezradnie. Bezradnie, ale i z czcią wobec tej wielkiej tajemnicy i wobec duszy ludzkiej.

Ten szacunek wobec danej nam indywidualności dziecka jest postawą, charakteryzującą personalizm w wychowaniu[1]).

Czy znaczy to jednak, że mamy zrezygnować z kształtowania? Byłoby to rezygnacją z naturalnej funkcji rodzicielskiej, która jest nie tylko prawem, ale i obowiązkiem, wynikającym z całej „roli społecznej" rodziców. Chodzi tu jedynie o to, by sobie zdać sprawę z granic, do których to oddziaływanie posuwać się może i musi.

[1]) Patrz „Rodzina i Dziecko", Nr 4 „Personalizm w pokoju dziecięcym".

Zasadę nie trudno wydedukować a priori: granicą wychowania musi być ten zespół cech stałych, wrodzonych czy rozwiniętych przez życie niezależnie od naszej woli, który nazywamy indywidualnością. Zadaniem wychowawcy zarówno nauczyciela jak i, przede wszystkim, rodziców, jest jej rozwojem tak pokierować, by wszystkie dodatnie cechy wychowanka pogłębić, a ujemne możliwie osłabić albo zamienić w dodatnie — co nie jest niemożliwe, choć nie należy do zadań łatwych. Tak można np. z egoizmu zrobić zdrową ambicję służenia innym, albo z bojaźliwej ustępliwości świadome dążenie do unikania konfliktów, znające jednak swoje granice w pojęciu honoru. Wyniki te są możliwe jedynie wtedy, jeśli natrafi się na d o b r ą w o l ę. A tej wymusić lub sztucznie wytworzyć nie można. W o l n a wola jest drugą zasadniczą granicą, której nawet sam Pan Bóg przekroczyć nie może, gdyż dał nam tę wolność jako cechę fundamentalną naszego człowieczeństwa.

Istotną rzeczą jest niewątpliwie p o z n a n i e osobowości swego dziecka. Większość rodziców czułaby się zdziwiona a nawet obrażona takim postulatem, że trzeba poznać swoje dziecko: toć zdaje im się, a szczególnie matce, że nikt już tak dobrze nie zna każdego drgnienia duszy swego dziecka jak ona. A jednak, ile tu złudzeń! to, co normalnie znamy, to sposób reagowania na różne podniety, a więc, czy dziecko jest spokojne czy gwałtowne, ciche czy głośne, aktywne czy bierne, ambitne czy leniwe. Wiemy też, jakie są jego nawyki i zewnętrzne upodobania. Czasem, choć już rzadziej, uda się podchwycić postawę społeczną, która się najlepiej uwydatnia w zabawie.

Wszystkie te objawy są jednak dopiero przebłyskami indywidualności. Jej pełne poznanie jest o tyle rzeczą prawie niemożliwą, że w okresie dziecięctwa, nawet późnego, indywidualność ta nie jest jeszcze w pełni rozwinięta. Człowiek nie jest rośliną, przy której wystarczy znać gatunek, by móc wiedzieć, co z danej pąkówki wyrośnie. Zbyt wiele wchodzi tu w grę czynników, które współkształtują indywidualność, zbyt wiele nade wszystko zależy od wolnej woli. Nie mniej jednak można i u człowieka snuć pewne horoskopy.

Chodzi nam tu o dwie rzeczy odrębne: o powołanie życiowe czyli zawód i o światopogląd.

Uzdolnienia zawodowe bada się dziś już metodami p s y c h o t e c h n i c z n y m i. Rodzice często może będą się obawiali takiego badania, by im jego wyniki nie przekreśliły ich planów na temat przyszłości. Własne marzenie nieraz jest im de facto droższe, niż rzeczywiste dobro niby tak ukochanego dziecka. Jest to ta najbardziej niedojrzała forma miłości, niestety aż nazbyt częsta. W rzeczywistości tutaj kochamy s i e b i e w swych dzieciach, miast kochać dziecko z całą jego konkretną osobowością.

Nie można oczywiście się łudzić, że psychotechnika rozwiąże zawsze

kwestie powołania zawodowego. Chodzi tu przecież o coś więcej, niż o uzdolnienia psychofizjologiczne — chodzi o te ukryte sprężyny wewnętrzne duszy ludzkiej, których wykrycie decyduje o tym, czy dana osoba znajdzie się na właściwym dla niej miejscu, czy też „chybi powołania". Słowa „powołanie" używamy tu świadomie, chcąc je przeciwstawić pojęciu „zawodu", które dziwnym trafem jest dwuznacznikiem i oznacza również „zawiedzenie się" na czymś. Czyż taki „zawód" bez powołania nie przynosi zawsze „zawodów" nawet wtedy, gdy przyniesie stanowisko i dobrobyt? Stajemy tu znowu wobec tej wielkiej tajemnicy, wobec tych ukrytych sprężyn duszy ludzkiej, od których uruchomienia zależeć będzie, czy będziemy mieli człowieka „zawodu", spełniającego mechanicznie powierzoną mu funkcję, czy też człowieka „powołania", który w pracy swej widzieć będzie swoje zadanie życiowe. Nie chodzi tu o znaczenie tej pozycji. Najskromniejsza funkcja może być rzeczywistym powołaniem, a najwyższa pozycja jedynie „zawodem". Wszystko zależy od tego, czy odnajdzie się ta iskierka, która jest „tylko jedna w człowieku" i która „raz w młodocianym zapala się wieku".

Jaka jest tu rola rodziców? Podobna do roli lekarza: przede wszystkim nie szkodzić, to znaczy nie przeszkadzać rozwojowi, nie narzucać swojego ja, swoich marzeń. Kochać osobowość konkretną dziecka, taką, jaką nam została dana przez Boga, a nie szukać w dziecku tylko swojego ja, swojej „kontynuacji" czy swego odbicia.

Ten sam będzie stosunek do przekonań dziecka. Dalecy jesteśmy od kultu jakiegoś liberalizmu, który każe rezygnować z wszelkiej interwencji wychowawczej; minął już wiek egzageracji, która kazała rodzicom adorować wszystkie wybryki dziecka jako przejaw jego indywidualności. Do Ellen Key i „stulecia dziecka" wracać nie będziemy. „Swawolny Dyzio" nie może też być naszym ideałem. Rodzice mają obowiązek wychowania i mają odpowiedzialność również za przekonania, które się w duszy dziecka tworzą. Chodzi tylko o to, by szanowali w dziecku każdą jego własną myśl, by umieli nawiązywać do jego dążeń i przekonań, i by nigdy nie zapominali o tym, że przekonań nie można od zewnątrz narzucić. Jedynie atmosfera domu, stopniowe wciąganie dziecką w krąg własnej grupy światopoglądowej, a przede wszystkim przykład może swoje zrobić. Szczególnie w kwestiach trudnych jak religia. Trzeba tu oczywiście rozróżniać fazy rozwoju dziecka. Jest okres dzieciństwa, gdy każde pouczenie przyjmuje ono chętnie. I z tych pouczeń rodzicielskich tworzy się najgłębsza warstwa przekonań. Później przychodzi wiek krytycyzmu i przekory, wiek młodzieńczego buntu. Wtedy szczególnie, ale już i w okresie dzieciństwa, decydujące znaczenie ma przykład. Nawet małe dzieci są wrażliwe na konsekwencję. I na tym tle rodzą się naczęściej bunty ideologiczne. Bunt ten staje się nieuniknionym, gdy z brakiem przykładu konsekwencji łączy się narzucanie poglądów, nudzenie morałami lub da-

waniem odpowiedzi na pytania, które się jeszcze w umyśle nie narodziły.

Szanując indywidualność dziecka, nie widząc w nim ani jakiegoś bóstwa przed którym się klęka, ani też „nieznośnego smarkacza", którego się zbywa lub tresuje, lecz tworzącą się osobowość, za którą nam Opatrzność dała ogrom współodpowiedzialności, będziemy mogli — uwzględniając naturalne różnice pokoleń, znaleźć drogę do duszy dziecka i ufundować nierozerwalne, najgłębsze, dożywotnie więzy stosunku rodzicielskiego.

Dr Teofil Wojeński.

PRZYCZYNY BRUTALNOŚCI MŁODEGO POKOLENIA.

(Fragment pogadanki wygłoszonej przez Radio w dziale „Dyskutujmy").

Coraz częściej i coraz głośniej mówi się o brutalności młodego pokolenia inteligencji, o pochopności do gwałtu, do regulowania na tej drodze nawet najbardziej zawiłych konfliktów życia otaczającego, o tendencji otwierania sobie drogi do kariery uderzeniem pięścią między oczy bliźniego. Coraz częściej i coraz głośniej mówi się i pisze o rażących przejawach brutalności młodego pokolenia inteligencji w sferze życia politycznego, społecznego, obyczajowego, sportowego, a nawet w obrębie pracy zawodowej młodych inżynierów, młodych adwokatów, młodych nauczycieli, młodych literatów.

Wśród wypowiedzeń się na ten temat nie brak głosów autorytatywnych, dostatecznie ważkich, by skłonić do poważnego namysłu wszystkich tych, którzy poczuwają się do odpowiedzialności za wychowanie pokolenia.

Nie brak również wypowiedzeń się samych przedstawicieli młodego pokolenia potwierdzających tę opinię. Weźmy dla przykładu powieść Łukaszewicza p.t. „Nauczyciele" — obrazującą jak widzi życie, jak się w nim urządza, jak zdobywa dla siebie miejsce młody nauczyciel. Poza współczuciem, jakie budzą w nas wiernie przez autora opisane, niesłychanie ciężkie warunki materialne nauczycieli w ogóle, a w szczególności młodych, rozpoczynających pracę, źródłem przygnębienia, które ogarnia nas po przeczytaniu książki jest przytłaczająco niski poziom kulturalny odtwarzanego trybu życia młodego nauczyciela we wszystkich dziedzinach, a więc i w spełnianiu zawodowej pracy i w walce konkurencyjnej ze starszym pokoleniem i wreszcie w życiu osobistym, erotycznym.

Bez trudu możnaby wskazać powieści opisujące w tym samym świetle młode pokolenia innych zawodów np. literatów („Wspólny pokój" — ś.p. Zbigniewa Uniłowskiego).

Wśród głosów opinii publicznej, stwierdzającej takie czy inne przejawy brutalności młodego pokolenia, nie brak wypowiedzeń skłonnych ca-

łą odpowiedzialność za ten stan rzeczy zrzucić na szkołę współczesną. Możnaby sądzić z tych wypowiedzeń, że szkoła współczesna nie zwraca dostatecznej uwagi na pracę wychowawczą, że nauczycielstwo lekceważy swe obowiązki wychowawców młodzieży i nie spełnia ich należycie. Zarzut najzupełniej niesłuszny i krzywdzący. Najsurowszy ale obiektywny krytyk współczesnej szkoły nie może jej zarzucić niedoceniania zadań wychowawczych. Przeciwnie, w szkole współczesnej na pracę wychowawczą przede wszystkim zwraca się uwagę, przecież pod tym kątem przeprowadzona była ostatnia reforma nauczania. Zadania wychowawcze w szkole wysuwa się na plan pierwszy. Praca wychowawcza jest tak rozbudowana, że nauczyciel wprost ugina się pod jej ciężarem. Poza wychowaniem przez nauczanie bierze udział w całym szeregu prac, zmierzających do zrealizowania opracowanego przez szkołę planu wychowawczego. Odbywa godziny wychowawcze, konferuje z młodzieżą, uczestniczy w pracach organizacyj uczniowskich. Trudno nawet wyliczyć długi szereg prac i zabiegów wychowawczych, którymi jest obarczony.

Zestawienie ogromu wysiłków podejmowanych przez szkołę współczesną w dziedzinie wychowania z osiąganymi przez nią w tej dziedzinie wynikami, w postaci tego co wnosi młode pokolenie inteligencji — budzić musi świadomość tragicznej antynomii, tkwiącej u podstaw współczesnej kultury. Czy za ten stan rzeczy można czynić odpowiedzialną szkołę, a przynajmniej czy tylko szkołę?

Doceniając rolę szkoły w wychowaniu młodego pokolenia, nie należy jej przeceniać. Najlepiej spełniająca swe zadanie szkoła jest przecież tylko jednym z ważniejszych, ale bynajmniej nie najważniejszym czynnikiem wychowania młodego pokolenia. Nawet najbardziej wciągająca w orbitę swoich zamierzeń i poczynań wychowawczych szkoła, nie może całkowicie izolować swoich wychowanków od wpływów życia otaczającego, z którym styka się młodzież poza szkołą na każdym kroku. Wydaje się też, że z większą słusznością przyczyn objawów brutalności młodego pokolenia inteligencji należałoby szukać poza szkołą.

Najbardziej istotnym czynnikiem, oddziaływującym ujemnie pod tym względem na młodzież, jest współczesna rzeczywistość stosunków międzyludzkich, brutalny sposób regulowania zatargów narodowych, społecznych i ekonomicznych w życiu politycznym za wschodnią i zachodnią naszą granicą. Kontakt kulturalny społeczeństw jest tak bliski, że na kształtowanie psychiki młodego pokolenia każdego narodu wpływa nie tylko to, co się dzieje w danym kraju, ale i to, co się dzieje poza jego granicami. Czyż możemy mieć wątpliwości, że wiele z przejawów współczesnego życia politycznego na szerokim świecie, o których młodzież słyszy i czyta — sprzyja wyzwalaniu się brutalnych pierwiastków duszy ludzkiej?

Czyż trzeba przytaczać zdarzenia i wypadki z lat ostatnich, które niewątpliwie utwierdzały i utwierdzają w młodzieży przekonanie, że gwałt

i siła brutalna są jedynymi istotnymi regulatorami życia? Weźmy pierwszy z brzegu przykład — wojnę włosko - abisyńską. Czy możemy mieć wątpliwości jaki wpływ wychowawczy i jak brzemienny w skutki mogło wywrzeć na młodzież przeżycie przebiegu tej wojny? A młodzież przeżyła te wypadki niewspółmiernie intensywniej niż starsze pokolenie.

Drugą przyczynę, bodaj jeszcze ważniejszą, odnajdujemy w warunkach życia współczesnego młodego pokolenia. Składają się na nią niewątpliwie trudne warunki, w jakich znajduje się przeważnie młodzież po opuszczeniu szkoły. Warunki powojenne, kryzys gospodarczy sprawia, że młode pokolenie w większości wypadków z trudem znajduje sobie miejsce przy warsztatach pracy. Mimo otrzymanego świadectwa, zdobytej wiedzy, zmuszone jest przeważnie zadawalać się bardzo skromnymi warunkami bytu, obniżającymi jego poziom kulturalny. Udziałem młodych pokoleń, idących w życie, jest niewspółmiernie ostrzejsza i bardziej bezwzględna walka o byt, niż inteligencji przedwojennej. Powiedzmy szczerze, żeby nie krzywdzić młodego pokolenia, w warunkach walki o byt, na które skazane są obecne pokolenia inteligencji wchodzące w życie, znacznie trudniej utrzymać się na należytym poziomie kulturalnym.

Czy wobec tych warunków szkoła współczesna, współczesny wychowawca młodzieży ma bezradnie opuścić ręce? Oczywiście, nie!

Nie ulega wątpliwości, że szkoła współczesna ma niewspółmiernie trudniejsze zadanie wychowawcze niż szkoła dawna. Tym nie mniej, szkoła i wychowawca muszą mieć ambicję wychowania takiego człowieka, który i w tych, znacznie trudniejszych warunkach, nie obniży poziomu kulturalnego tworzonego przez siebie życia, ale go podniesie. Głównym bowiem zadaniem wychowywania jest przystosowanie młodego pokolenia do nowych warunków.

że tę ambicję współczesny wychowawca posiada, świadczy wymownie niezwykle ożywiony w latach ostatnich ruch na polu pedagogicznym, znajdujący wyraz w licznych międzynarodowych i krajowych kongresach i zjazdach oraz w obfitej literaturze poświęconej zagadnieniom wychowawczym. Rzucający się w oczy fakt, że mimo wysiłków szkoła współczesna nie osiąga zamierzonych celów wychowawczych, że ideały wychowawcze nie wytrzymują próby rzeczywistości w chwili zetknięcia się z nią młodego pokolenia, budzi uzasadnioną obawę, że błąd tkwi u podstaw, że system wychowawczy szkoły współczesnej tkwi wciąż jeszcze swoimi podstawami nie w rzeczywistości, z którą zmagać się musi młode pokolenie, ale w rzeczywistości dnia wczorajszego. Stąd powszechnie odczuwana potrzeba rewizji systemu wychowania, potrzeba przedyskutowania podstaw, na których się opiera i zmontowania podstaw, odpowiadających potrzebom czasów współczesnych.

Dostosowanie systemu wychowania do rzeczywistości współczesnej jest tym trudniejsze, że nie jest ona ustabilizowana chociażby w tym stopniu,

jak rzeczywistość przedwojenna. Niewspółmiernie szybsze tempo zachodzących w niej zmian, dokonywujących się procesów uniemożliwia opanowanie tej rzeczywistości myślą tak, by na tej podstawie budować dostatecznie ważkie teorie pedagogiczne. To samo szybkie tempo zmian, zachodzących w otaczającej nas rzeczywistości, tak bardzo oddaliło nas od rzeczywistości przedwojennej, że oparte na niej teorie pedagogiczne stają się coraz mniej przydatne do montowania podstaw współczesnego systemu wychowania.

Mimo te trudności, które na swojej drodze napotyka współczesna myśl pedagogiczna, jesteśmy świadkami coraz konsekwentniejszego opanowywania przez nią nowej sytuacji, coraz jaśniej też zarysowują się nowe podstawy wychowawcze i coraz głębiej wnikają w codzienną pracę wychowawczą współczesnej szkoły. Jesteśmy też świadkami coraz bardziej zdecydowanej walki nowej pedagogiki społecznej z zeszłowieczną pedagogiką indywidualistyczną.

W płaszczyźnie też tej walki kształtuje się wyraźnie nowy system wychowawczy.

ARTYKUŁY DYSKUSYJNE.

Szkoła państwowa a prywatna.

Utarło się wśród rodziców przekonanie, że nastroje wychowawcze w szkole państwowej i prywatnej są zupełnie różne.

Życzliwe, pełne ciepła traktowanie młodzieży, liczenie się z odrębnościami indywidualnymi, dążenie nauczycielstwa do znalezienia takich dróg nauczania, którymi trafić można do umysłów mniej lotnych — oto ideały, których szukają rodzice, a które — jakoby — przede wszystkim w szkołach prywatnych znaleźć można.

Wytworzyła się więc wokół szkół państwowych sugestywna opinia, która zmniejsza zaufanie społeczeństwa do szkół, utrzymywanych przez rząd.

Ciekawe, że nie tylko rodzice, ale i nauczycielstwo poddaje się tej sugestii, i niejeden wychowawca informując rodziców o niedostatecznych postępach ucznia dodaje komentarz: „X” nie nadaje się do szkoły państwowej, może w prywatnej da sobie radę.

Zapewne pra-przyczyna owego przeświadczenia u rodziców tkwi w przyzwyczajeniu ujmowania codziennej rzeczywistości od strony — pieniężnej. Szkoła państwowa jest tańsza, więc w rozumieniu przeciętnego obywatela — nie można od niej wymagać tyle ile od szkoły, która uczy za duże pieniądze. Jest tańsza — więc trzeba jej się trzymać ze

wszystkich sił; narzekać, rzucać gromy po kątach, ale szczerze nie wypowiedzieć się wobec nauczycielstwa, które niejedną kwestię mogło by wyjaśnić. Dlaczego? Bo strach, bo zaszkodzi się dziecku, bo... straci się możność taniej nauki. Oto nastrój przedsionków szkół, atmosfera, którą trzeoa oczyścić.

Z drugiej strony nauczycielstwo musi pędzić z programem, bo zapóźnienie liczy mu się na minus. Nie ogląda się więc na dzieci mniej zdolne, czy inaczej rozumujące, i ratując siebie chce z gimnazjum państwowego zrobić ośrodek nauczania tylko wzorowych jednostek [1]). Czy tak być powinno? Czy tak jest?

Program zarówno wychowawczy, jak i naukowy jest jeden dla wszystkich gimnazjów i liceów. Jeżeli realizuje się go w stopniu niedostatecznym — wina jest tylko po stronie mniej wartościowego personelu nauczycielskiego lub złego kierownictwa [2]).

Między szkołą prywatną a państwową jest tylko ta różnica, że pierwsza jest utrzymywana przez jednostki, pobierające na ten cel wysokie wpisy, a druga przez państwo, że nauczycielstwo w szkole państwowej i prywatnej ma nierówne uposażenie.

To są fakty, ale one n i e m o g ą wpływać na istotną treść szkoły: kształcenie umysłu i duszy dziecka.

Szkoła państwowa ma prawo doboru młodzieży drogą konkursowych egzaminów wstępnych.

Nikt się nie dziwi, gdy spośród tłumu kandydatów szkoła wybiera dzieci urzędników, a śród nich wyszukuje najlepiej zdające. Szkół państwowych jest mało, musi więc być jakaś sprawiedliwa podstawa do selekcji zgłaszających się.

Ale to jest jedyny moment, kiedy nauczycielstwo może mieć formalny stosunek do tłumu jeszcze niezróżniczkowanego na jednostki.

Mimo, że przyjmuje się do gimnazjum dzieci, które zdały dobrze, a więc przygotowane dostatecznie do pracy, już w końcu pierwszego miesiąca występują duże różnice indywidualne, wynikające z nieumiejętności dostosowania się do nowych warunków, do innych sposobów wykładu itp.

I tu już nie może być obojętnego przejścia do porządku nad t.zw. „gorszym uczniem". Nie ma orzeczenia: „nie nadaje się". Każde dziecko przy-

[1]) W poglądach więc nauczycielstwa i rodziców przy wspólnym uznaniu różnicy między szkołą państwową a prywatną jest jednak rozbieżność. Rodzice mianowicie podkreślają n i ż s z o ś ć szkoły państwowej pod względem wychowania, a nauczycielstwo jej w y ż s z o ś ć pod względem nauczania.

[2]) Sądzimy, że na niedostateczne realizowanie programu składa się poza wymienioną przyczyną i szereg innych, jak: wyposażenie szkoły, dobór młodzieży, ilość młodzieży w klasach, opieka domowa nad młodzieżą, warunki finansowe uczniów itd. (Przypisek Redakcji).

jęte do gimnazjum ma prawo do życzliwej opieki ze strony nauczycielstwa, które powinno chcieć wnikać w naturę ucznia, poznać jego warunki domowe. Inny stosunek — jest rezultatem pracy pedagogicznej niewartościowej — wszystko jedno czy szkoła jest prywatna, czy państwowa.

Kieruję do ostatecznego wniosku. Nie ma nauczycieli szkół państwowych i prywatnych, jak nie ma odrębnych środowik wychowawczych w tych i w tych szkołach. Są tylko gorsi i lepsi pedagogowie. Jednostki zmęczone własnym życiem, apatyczne, pozbawione iskry bożej można znaleźć w każdej szkole. I w każdej są świętym ogniem zawsze płonący „siłacze".

Czy wolno dopuszczać do wniosków krzywdzących, że nauczycielstwo szkół rządowych pracuje gorzej, bo nie mają potrzeby liczyć się z ilością uczniów, a grona pedagogiczne w szkołach prywatnych zabiegają o uczniów, bo boją się stracić dobrze płatnych klientów.

Nauczycielstwo ma prawo walczyć namiętnie o poprawę bytu, ale nigdy nie mierzy otrzymaną pensją wysiłków swych na terenie szkoły. A więc dobry stosunek do dziecka znajduje się i w szkole państwowej i w prywatnej.

Szkoła państwowa jednak ma jeden wielki minus w swej organizacji. Oto wychowawstwa są niepłatne, dzięki czemu brak godzin na dostateczna zajęcie się klasą pod względem wychowawczym i porozumienie z rodzicami. Tu już najlepsza wola nauczyciela nic nie poradzi.

Ale może pomogłoby zbiorowe wystąpienie wszystkich Kół Rodzicielskich do władz — z prośbą o przywrócenie płatnego wychowawstwa w gimnazjach państwowych.

Tego wymaga dobro dzieci.

Stefania Michalska.

Przyczyny niepowodzeń akcji współpracy domu ze szkołą.

Biorąc czynny udział w akcji zbliżenia domu do szkoły i patrząc dziś z perspektywy lat kilkunastu, chciałbym rzucić garść uwag na temat przyczyn niepowodzeń tej akcji w pewnych środowiskach. Moje studia nad bogatą naogół dziś literaturą tego zagadnienia pozwoliły mi na głębsze przemyślenie ciekawego zjawiska, które zachodzi i znika, pożerając nieproduktywnie wiele sił obu stron: rodziców i nauczycieli.

Jest znamiennym, że zarówno rodzice jak i nauczyciele mając na oku zdawałoby się jeden cel: dobro dziecka i pomoc w czasie jego pobytu w szkole, tak często rozchodzą się na punkcie metod, form i środków pracy, zgorzkniali, zniechęceni do dalszych usiłowań.

Jeżeli poruszę cały szereg objawów nie omawianych dotychczas, jeżeli to zrobię bez ogródek, szczerze, to tylko w tym celu, aby wywołać żywą dyskusję, ażeby zmusić niejako obie strony do szczerego wypowiedzenia się na tak bardzo aktualny dziś temat; a przez to przyczynić się choć w drobnej mierze do skierowania całej akcji współpracy na właściwe tory.

Jeżeli tu i ówdzie współpraca domu ze szkołą „nie idzie", lub zamiera, to wi-

docznie istnieją wzajemne nieporozumienia dotyczące albo celów, albo metod tej pracy. To jasne.

Jako ojciec, ale równocześnie i jako nauczyciel-wychowawca, zacznę od nauczycielstwa.

Mam wrażenie, że nauczycielstwo za bardzo jest nastawione na nauczanie wszystkich i wszystkiego. Ten źle pojęty „pedagogizm" każe nauczycielowi uczyć nietylko dzieci, ale i rodziców. Zamiast ograniczyć się do spraw raczej organizacyjno-koordynacyjnych, przeplatanych odpowiednio zaktualizowanymi pogadankami czy referatami, nauczyciel często przekreśla taktykę, rzuca się do pracy na wszystkie odcinki równocześnie, nie uznając etapów, przegrywa na całym froncie.

Pierwsze zatem zagadnienie dotyczy taktyki. W początkowym okresie w okresie organizacyjnym, dobrze będzie, jeżeli nauczyciel wielu rzeczy nie będzie widział, obok wielu przejdzie spokojnie do porządku dziennego, całe swe siły natomiast poświęci pracy organizacyjnej, koordynującej wysiłki poszczególnych komórek Opieki czy Rady Rodzicielskiej.

Praca ta może iść w parze nawet z przygotowaniem t.j. wychowywaniem rodziców, ale tylko tych, którzy stoją na czele organizacji. Umiejętne podsunięcie tematu, ośrodka pracy, lekka przyjacielska rada, więcej zrobi, jeżeli jest udzielona w porę, w razie porzeby, niż najsumienniej opracowany na zimno regulamin Rady Rodz. wzgl. godzinny referat, mający przekonać o słuszności pracy, w którą nikt nie wątpi.

Drugi błąd tkwi w zbytnim generalizowaniu całej pracy. Oto nauczyciel zaprasza rodziców na konferencję wywiadowczą. Nie zapowiada rodzicom, w jakim celu ją urządził, ale zaczyna zebranym w klasie przedstawiać beznadziejny poziom klasy, narzeka na brak zainteresowań u dzieci i brak należytego nad nimi nadzoru ze strony rodziców. Rodzice przyszli napewno z innym nastawieniem. Pragnęli usłyszeć indywidualnie ewentualne nagany czy pochwały swych dzieci. Pragnęli pomówić po przyjacielsku z światlejszym od siebie wychowawcą nad sposobami zaradzenia złu, usunięciem niedomagania. Tymczasem zawiedli się, bo wyłożono im szereg okólników i sprawa załatwiona. Jeżeli w dodatku nauczyciel, nie pytając o zgodę, pozwolił sobie wobec wszystkich odczytywać noty i czynić uwagi o poszczególnych uczniach, no to leży u rodziców na obie łopatki, chociażby nawet intencje tej pracy były jak najlepsze. Rodzice nie chcą się zjawiać na takich zebraniach, bo nie życzą sobie poprostu publicznego połykania wstydu za swe dzieci, wobec nieuctwa których są bezsilni i zdają sobie z tego sprawę.

Trzecie zjawisko dotyczy również taktyki. Zdarza się często, że ojciec czy matka uniesieni gniewem, czy obrażeni (mniejsza o to, czy słusznie, czy nie) czynią może nieco niedelikatne uwagi pod adresem nauczyciela. Nauczyciel, szczególnie młody, musi koniecznie te uwagi słyszeć, musi je wywłóczyć i rozpowiadać między innymi rodzicami, z którymi „bliżej" żyje, rodzi się plotka, przenoszona z ust do ust, siejąca ferment w pracy. Mym zdaniem nauczyciel, podobnie jak każdy człowiek stojący na posterunku publicznym, zgóry skazany jest na krytykę i na cierpkie w niej zdania. Z tym trzeba się liczyć, bo życie trzeba brać właśnie takim, jakim ono jest: z cierniami i różami. Kto szuka samych róż, często doznaje zawodu i kaleczy sobie ręce. Nauczyciel, któremu rodzice powierzaja dziatwę, a więc swój najdroższy skarb, jakże może liczyć na pobłażliwość, skoro rodzicom zdaje się, że i on zbłądził, że poprowadził dziecko nie tam, gdzie sobie życzyli. Klasyczny przykład, ilustrujący to właśnie zjawisko mam z własnego doświadczenia. Otóż jeden z mych kolegów, kierownik szkoły, ogromnie ubolewał zawsze i denerwował się, gdy przychodzili do niego rodzice i żalili się na

krzywdy, jakie dzieją się ich dzieciom rzekomo w szkole. Choć często w duszy przyznawał im rację, jednak dziwił się zawsze, jak można z byle drobiazgami zaraz tak latać do kierownika szkoły. Obecnie kolega ten ma troje dzieci, jedno z nich uczęszcza do gimnazjum. Doznało niedawno krzywdy, spoliczkowała je koleżanka z tej samej ławki, ingerencja nauczycielki była widocznie nieszczególna, bo kierownik ten udał się do kancelarii dyrektorki i wyraził swe oburzenie na panujące metody. W trakcie rozmowy wyraził się nawet, że „takie wypadki nie mogą mieć wogóle miejsca w szkole". Oczywiście, że nie mogą, chyba sam kierownik doskonale zdaje sobie z tego sprawę, że nie sposób im nieraz zapobiec. Po dłuższej dyskusji z dyrektorką, doszedł jednak ów kolega-kierownik szkoły do wniosku, że „jest głupim wariatem na punkcie dzieci".

I oto cała prawda na wierzchu. Tam gdzie chodzi o nasze dzieci jesteśmy nieubłagani, kierujemy się nerwami, uczuciem, nie zapraszając do współudziału czynnika rozumu. I stąd scysje i kwasy.

Rodzice więc winni poznać bez reszty całe życie wewnętrzne szkoły, nie powinni patrzeć na nią, jako na twór idealny, lecz winni ją rozumieć jako organizację, instytucję wychowania i nauczania publicznego, stworzoną przez ludzi i przez ludzi kierowaną. Z takiego pojmowania istoty szkoły zrodzi się nie kwas, nie zawód, ale rzetelna chęć współpracy, współżycia i współodpowiedzialność za kierunek wychowania, której dotąd jakoś nie widać u znakomitej większości rodziców.

Jedną z zasadniczych trudności przy współpracy domu ze szkołą jest fakt, że rodzice nasi pochodzą z różnych szkół zaborczych, gdzie panowały różne systemy i kierunki wychowawcze i dydaktyczne, a są i tacy, którzy wcale nie oglądali murów szkolnych, są i tacy, którzy przeszli przez szkołę obojętnie i koło których szkoła również przeszła mimochodem. Jeżeli do tego dodamy wrogi naogół stosunek do szkoły zaborczej, stosunek niepozbawiony brutalności, podstępów, nieufności, podejrzliwości, będziemy mieli pełny obraz tych spustoszeń, jakie poczyniła w duszach obywateli szkoła zupełnie im obca, wynaradawiająca. Te fakty nie mogły być obojętne organizatorom akcji współpracy, z tymi faktami należało się i należy się w dalszym ciągu liczyć bardzo poważnie.

A jeżeli liczymy się z faktem istnienia różnych typów rodziców, to prostą i konieczną konsekwencją jest również indywidualizowanie wpływów na masy rodzicielskie. Koniecznymi się stają te formy pracy indywidualnej, które w odniesieniu do różnych osobników dadzą dobre wyniki. Trudno wymagać, by np. w dzielnicy, w której nauczyciel spełniał role żandarma. wywiadowcy, sekwestratora, organisty, urzędnika stanu cywilnego, donosiciela, który poza tym miał wyraźne polecenie „urzędowania" w knajpie i wpajania w tłumy polityki zaborczej, który upijał się do nieprzytomności, tak, że jeszcze w poniedziałek zataczał się na lekcjach, trudno powiadam, tak momentalnie przekonać rodziców, że nauczyciel polski jest inny, że zrodziła go inna potrzeba i inne warunki. Rodzice raczej skłonni są, szczególnie w chwilach uniesienia, do identyfikowania nauczyciela polskiego z zaborczym, przypisując mu w złości wszystkie najgorsze jego cechy. Oczywiście, że te zjawiska zniweluje czas i rzetelna, godna największego uznania praca nauczyciela polskiego. Ale należy właśnie obecnie o tym pamiętać, że urazy psychiczne, powstałe jeszcze w szkołach zaborczych, nie zabliźniły się, a jak to powiedział Wielki Marszałek, „dusze na nowo jeszcze z ran się nie uleczyły", jeszcze korzeniami tkwią mocno w przeszłości, która rzekomo była lepsza (bo młoda) niż twarde dzisiaj.

W szkole powszechnej, w której materiał dziecięcy, a więc i rodzice jest nie wyselekcjonowany, gdzie spotykamy ludzi o różnych kierunkach, stopniach i za-

kresach uzdolnień, zainteresowań i poziomie umysłowym czy moralnym na nic się zdadzą wszelkie najmądrzejsze nawet referaty o wychowaniu. Inaczej bowiem pojmuje i rozumuje na temat wychowania górnik, niż urzędnik V-go czy VI-go stopnia służbowego. Co innego jest ważne dla kapitalisty, dla wielkiego przemysłowca, niż dla przeciętnego proletariusza. Dlatego rozmowa z nimi o jednym jakimś zagadnieniu, rozmowa prowadzona na jednym poziomie powoduje zainteresowanie u jednej garstki, a u innych budzi odrazę wzgl. poczucie straconego czasu.

Mając to przekonanie, rodzice winni być właśnie względni dla nauczyicela, który z drugiej strony musi być przekrojem potrzeb ogółu rodzicielskiego, winni mieć wyrozumiałość, że on musi w dzisiejszych warunkach przemawiać do wszystkich i według pewnych wytycznych, często uzależnionych od różnych czynników.

Wadliwym ze strony rodziców jest właśnie to, jakże często zupełnie odmienne nastawienie, z jakim udają się do szkoły na posiedzenie. Jedni idą z myślami, by coś dla dziecka zyskać (obuwie, ubranie, dożywianie, zeszyty, książeczki itd.), inni idą po to, by usłyszeć dobrą opinię o swym pupilku, o złej nie chcą słyszeć, bo poco, przecież nauczyciel jest temu winien. Niech nie pozwoli dziecku na darmo tracić czasu, przecież ma silną rękę, przecież ma dzieci przez 5 godzin w swej opiece itd. itd. Są rodzice, którzy idą na zebranie po to, by utargować od nauczyciela kilka dni zwolnienia dziecka od zajęć, są i tacy, którzy pragną usłyszeć zdanie nauczyciela o uzdolnieniach zawodowych dziecka, o możliwościach jego przyszłej kariery.

Być może, że do sprawiedliwych należy zaliczyć te wszystkie życzenia. Być może, że szkoła kiedyś wszystkim rodzicom będzie w stanie udzielić odpowiedzi na ich pytania, że uczyni to w daleko właściwszy niż dzisiaj sposób, że nie będzie nudzić jednych dla zaspokojenia ciekawości drugich.

A ileż rodzi się antagonizmów między rodzicami a szkołą na tle materialnym. Składki do Rady... Owszem, są i dziś tacy, którzy nie tylko sumiennie wpłacają swe składki z własnych chęci, z dobrej woli, ale jeszcze b. chętnie obwędrowują domy i zbierają dobrowolne datki na najbiedniejsze dzieci, ale o ileż więcej spotyka się rodziców takich, którzy nie wierzą szkole. Przeważnie ci, którzy nigdy nie zaznali co to nędza, co głód i chłód lub opuszczenie i sieroctwo, ci nastawiają się do akcji charytatywnej szkoły wrogo, a jeżeli do samej akcji, no to i do nauczyciela, boć on jej przewodzi, to i do kierownika, bo on kieruje szkołą, która „żeruje na nieświadomości rodziców", jakto niedawno określiła jedna z matek, mająca pozatym pretensje do „inteligentnej społecznicy".

Jeżeli zdarzy się, że kierownik i grono nauczycielskie, zebrawszy fundusze, rozdzieli podarki np. gwiazdkowe tylko między najbiedniejszych, pozostawi zamożniejsze dzieci z pustymi rękoma, wówczas same dzieci nastawiają odpowiednio rodziców i rodzi się niemiły zgrzyt i wzajemna nieufność.

Bardzo częstą przyczyną rozdźwięków między rodzicami a szkołą są ambicje i ambicyjki na tle przewództwa. Oto wybrany został prezesem nie ten, który chciał, lecz ten, który otrzymał większą ilość głosów. „A przecie, wiadomo, niezaradny, mało inteligentny, roboty nie rozumie". „Poco do takiej Rady należeć, poco w niej tkwić?" Ambicja często bardzo zdrowej jednostki została podrażniona przez grono zwolenników i gotową wojna.

Innym razem jakaś Opieka Klasowa wdaje się w nieswoje kompetencje, stawia w ostrej formie nie życzenia, lecz nakazy, które jej zdaniem winien wypełnić kierownik i grono nauczycielskie. Kierownik zaś słusznie uważa, że on jest odpowiedzialny za kierunek i poziom szkoły, że nie może mu w szkole rzą-

dzić każda jednostka, bo wówczas wytworzyłby się straszny chaos, na którym ucierpi wychowanie. I znów powód do targów, znów zaczynają się potajemne zebrania, kończące się często skandalem. Rodzice-rokoszanie domagają się usunięcia kierownika szkoły p. X i nauczycieli Z i H za to i za to. Przepraszam, ale od tego są władze szkolne. Nauczyciel jak każdy pracownik nie może mieć dziesięcu nieodpowiedzialnych za szkołę władz. Może równocześnie słuchać tylko jednej władzy szkolnej.

Znowu więc musimy się z góry umówić, że kierownictwo i grono są ciałem mocodawczym, kierującym, a Rada Rodzicielska może być ciałem pomocniczym i opiniodawczym, wzgl. projektodawczym.

Są wypadki, że powodem zadrażnień we wzajemnej współpracy rodziców ze szkołą są różnice światopoglądowe, polityczne, a nawet brak kultury współżycia obywatelskiego.

Ta walka światopoglądowa, która ostatnio w szkolnictwie powszechnym i średnim zajęła naczelne miejsce, która położyła się na drodze współpracy domu ze szkołą jest jednak możliwą do usunięcia. Trzebaby się jednak zastanowić nad metodami walki z chorobami, nurtującymi niektóre jednostki społeczne. Mam wrażenie, że na te rozważania, znajdzie się miejsce i czas po przeprowadzeniu dyskusji.

Nakoniec chciałbym jeszcze zwrócić uwagę na pewne przyczyny, że tak określę, natury zewnętrznej. Są one płytkie i niskie. Oto zdarza się, że nauczyciel poucza bezrobotną matkę o tym, że należy dziecko ubierać czysto, że nie powinno mieć dziurawych łokci itd. Matka spogląda na nauczyciela i nie zastanowiwszy się z miejsca wali: „Dobrze panu mówić, jak pan tyle zarabia, że codziennie w innym ubraniu przychodzi do szkoły". Zaczyna się znów ciche szeptanie, o pogardzie dla biednych, o wyśmiewaniu się z biedy przez dobrze uposażonego (końby się śmiał) nauczyciela. Fakt jednak pozostaje faktem, że sam kołnierzyk, krawatka i całe spodnie nauczyciela, stają się powodem dystansu nie do przebycia między rodzicami i nauczycielem, na szczęście w pewnych tylko wypadkach.

Inne przyczyny niepowodzeń współpracy domu ze szkołą pragnąłbym omówić w artykule podyskusyjnym, o ile Szanowna Redakcja udzieli mi miejsca.

Zygmunt Gryń.

Głos nauczycielski w sprawie ocen szkolnych.

Pilna potrzeba zmiany systemu ocen została bardzo wyczerpująco oświetlona w artykule p. Embe w Nr. 8 „Rodziny i Dziecka" z punktu widzenia rodziców. Pozwalam sobie dorzucić parę uwag ze stanowiska nauczycielskiego.

Jeżeli idzie o ucznia, to domaganie się częstych i jawnych ocen, jak to czyni wspomniany artykuł, uważam za najzupełniej słuszne. Dziecko jest z natury pobudliwe, impulsywne, ale zmienne. Zasadniczo, ma dobrą wolę, chętnie postanawia wiele rzeczy, natomiast nie jest zdolne do działania stałego z celem na dłuższą metę. Musi koniecznie widzieć wyniki swej pracy i to widzieć je rychło — w przeciwnym razie, zniechęca się. Zupełnie małe dziecko każe podziwiać to, co narysowało lub zbudowało z klocków, potrzebuje uznania, jako widomego znaku swego powodzenia. Dla ucznia, tym widomym znakiem powodzenia — jest stopień szkolny. To też dzieci wszelkiego wieku przywiązują olbrzymią wagę do ocen nauczycielskich. I czynią tak, nie tylko dlatego, że oceny warunkują im promocję, ale że stwierdzają odniesione przez nie w pierwszej dziedzinie zwycięstwo.

Chcę odrazu rozprawić się z często spotykanym twierdzeniem, że „dziecko nic

powinno uczyć się dla stopnia". Jest to frazes bez istotnej treści. Dziecko nie tylko z reguły uczy się dla stopnia, ale i powinno uczyć się dla uzyskania jaknajlepszego stopnia. Bo stopień to tylko stwierdzenie, że wysiłki były celowe, że dały efekt, stwierdzenie przez czynnik, któremu dziecko w tych sprawach autorytet przyznaje. Żaden zdrowo myślący uczeń nie będzie się uczył trudnej zadanej lekcji, wymagającej wysiłku i nie zawsze zajmującej w danej chwili, po to tylko, żeby „zdobywać ogólne wykształcenie"; uczy się albo dla promocji na końcu roku (co jako zbyt odległy cel nie ma wiele siły pobudzającej), albo dla bezpośredniej oceny. Często motywem bywa chęć ucieszenia rodziców, ale to zawsze za pomocą tejże oceny. Jest znacznie gorzej, jeżeli dziecko uczy się , bo musi, jeżeli przygotowywanie lekcji jest wprost egzekwowane przez starszych, a nie płynie z jego własnej woli i chęci, która z reguły występuje, jeżeli dziecko ma możność stwierdzenia, że praca jego daje wynik.

Nawiasem dodam, że możność stwierdzenia bezpośredniego efektu pracy zawodowej, jak np. w pracy lekarza, stanowi jeden z największych jej uroków. Czyż więc można dziwić się dziecku?

Ocena zatem być powinna, i to ocena znana dziecku. Możliwie częsta, pobudza ona ucznia do pracy. Uczeń nie nauczył się lekcji, „miał pecha" że był tego dnia pytany — dostaje dwójkę, wie o tym, wraca do domu z nieco rzadką miną, ale ma pożyteczną nauczkę. Innym razem dostał ocenę niedostateczną, bo się za mało uczył, sądził że umie, nauczyciel był innego zdania. „Postawił mi dwójkę niesprawiedliwie, bo umiałem", ale mimo to wie, że ma się tego właśnie przedmiotu gruntowniej uczyć. A ocena dobra! „Dostałem dziś czwórkę z łaciny!". Postanawia zaraz mieć już zawsze czwórki z łaciny, postanawia pochopnie i choć często później nie umie dotrzymać, to jednak to częste nastawianie swej woli w kierunku lepszej pracy ma swe doniosłe wychowawcze znaczenie.

A teraz, jak sprawa ta przedstawia się od strony nauczyciela? Zupełnie słusznie podkreśla autorka wspomnianego artykułu, że zmiana systemu ocen i zniesienie tak zwanych wywiadówek poprawiły by niewątpliwie atmosferę, w jakiej ma się odbywać „współpraca domu i szkoły". Wiemy z własnej praktyki, jak przykrym jest, występując w roli opiekuna klasy, który z urzędu ma poinformować rodziców, stwierdzić wobec nich, że dziecko ich jest słabe z jednego przedmiotu, „nie uczy się" innego, jest „nie na poziomie" z jeszcze innego, bo tak brzmią uwagi odnośnych nauczycieli. Zwłaszcza to ciężkie słowo „nie uczy się", zastosowane być może do mało zdolnego dziecka, które godzinami odrabia lekcje.

Czyż nie lepsze byłoby uniknięcie tego rodzaju porozumiewań? Współpracę z rodzicami można nawiązać na innym terenie i w innej formie.

Co się zaś tyczy samego oceniania uczniów, to dzisiejszy system uważam za bardzo uciążliwy dla nauczycieli i zasadniczo nie celowy.

Przede wszystkim sama egzekutywa (czynnik pierwszorzędnej wagi w pracy wychowawczej) bardzo na tym cierpi, a oprócz tego utrudnia on ocenianie sprawiedliwe uczniów. Sprawiedliwość ocen jest zawsze ogromną troską nauczyciela, zwłaszcza w klasach tak licznych jak obecne. System, przy którym uczeń oceniany jest nie na podstawie określonych i notowanych odpowiedzi, ale na podstawie ogólnej opinii jaką sobie nauczyciel wytwarza, obserwując jego pracę, wyraźnie tę sprawiedliwość utrudnia. Przede wszystkim faworyzuje on dzieci zdolne, inteligentne i wygadane, na niekorzyść mniej zdolnych, nieśmiałych a pilnych. Oceny przecież stawiać się powinno za pracę, za postępy, które są jej wynikiem, a nie za zdolności, bystrość orientacji lub trafność myśli.

Tymczasem te właśnie cechy umysłowe zdolnych uczniów wytwarzają sugestję ich przewagi nad innymi i oddziaływują na wytworzenie u nauczyciela

„ogólnej opinii" znacznie lepszej niż na to zasługują; jeśli zaś chodzi o sumienne odrabianie każdorazowej lekcji, okazuje się nieraz, że taki bystry uczeń pozostaje w tyle za swym mało efektownym lecz pilnym kolegą. A to właśnie stanowi pracę dziecka, którą powinniśmy sprawiedliwie ocenić.

Zresztą ostrożny nauczyciel, chcąc sobie wyrobić ową „ogólną opinię" posługuje się, jak słusznie stwierdziła p. Embe, notowanymi w notesie ocenami poszczególnych odpowiedzi, tym tylko różniące się od dawnych stopni, że pozostają nieznane zarówno uczniom jak i rodzicom. I to jest ich bardzo ujemną stroną. Niektórzy nauczyciele, widząc złe strony tej tajemniczości, informują ucznia o wynikach jego pracy, udzielając nagany za złą odpowiedź, względnie wyrazem twarzy dają poznać swe niezadowolenie, bo przecież trzeba żeby dziecko, które z reguły jest optymistą co do swych umiejętności, wiedziało jakie ma braki. Zaprawia to jednak atmosferę lekcji niemiłym „gniewaniem się" nauczyciela. Jeżeli nauczyciel zachowuje pogodę nawet po złej odpowiedzi, dziecko nie orientuje się co do samej pracy. „Odpowiadałam dobrze, bo pani uśmiechała się do mnie" mówiła dziewczynka po egzaminie, którego w rzeczywistości nie zdała.

Pogodna atmosfera na lekcji jest niewątpliwie ważnym bardzo warunkiem pracy umysłowej zarówno uczniów jak i nauczyciela, oceny zaś winny mieć charakter logicznego, koniecznego następstwa większych lub mniejszych wysiłków ucznia, które na niego spadają siłą rzeczy, i przy których nauczyciel występować powinien jako czynnik możliwie najbardziej objektywny.

Na zakończenie pragnę stwierdzić, że, ze stanowiska nauczycielskiego, podpisuję się pod wszystkimi, tak często wyrażanymi życzeniami rodziców ocen częstych, jawnych i możliwie najszybciej podawanych do wiadomości opieki domowej ucznia.

Myślę, że szkolnictwo nasze dało rozliczne dowody, iż owiane jest duchem jaknajbardziej nowoczesnym, tak że mogłoby się nie obawiać zarzutu wstecznictwa i przywrócić dawny system ocen, wykazujący zarówno dla rodziców, jak i dla uczniów wyższość nad dzisiaj używanym, i którego główną wadą jest to, że był stosowany w dawnej tradycyjnej szkole.

Zofia Wołowska.

GŁOSY RODZICÓW.

Co demoralizuje młodzież.

Coraz częściej napływają do nas głosy rodziców i to z różnych stron kraju, wyrażające swe oburzenie na ohydne pisma dla młodzieży, zatruwające dusze dzieci. Są to „Karuzela", „Świat Przygód" i „Wiosenka".

Rodzice czują się bezradni wobec tej zarazy, przesączającej się do dusz młodego pokolenia, pisma te bowiem, mimo że potępiane przez szkołę i zakazane w domu, cieszą się wielkim powodzeniem wśród dzieci. Bywa, że chłopcy ze szkół powszechnych składają się po kilku, byle kupić „Karuzelę", tak bardzo ich ciągnie i fascynuje to piśmidło.

Trzeba tylko zajrzeć do paru numerów, żeby się przekonać, jakiego to ducha szerzy owa „zakazana" literatura. Na każdym kroku znajdziemy gloryfikację kradzieży, bandytyzmu, brutalności, chamstwa. Oto ulubieńcy dzieci Pat i Pataszon kradną palta w szatni, oto Merdek podpala obrus, żeby pod pretekstem pożaru na sali nie zapłacić rachunku w restauracji, oto trzech smyków ukradło żywność ciotce i ucztuje chwaląc sobie swój wyczyn: „Klawe wcinanie, warto było, brachu, oberwać kopniaka".

W szkołach szerzą się kradzieże, tworzą się bandy szkolnych złodziejaszków

i w Warszawie i w Krakowie. Gazety donoszą nam ustawicznie o rosnącym zuchwalstwie i pomysłowości nieletnich przestępców. Czy to nie na takiej lekturze, trafiającej zaiste do najszerszych mas, kształcą się ci mali kryminaliści?

Podobno pisma te nie mogą podlegać konfiskacie, ponieważ nie obrażają „moralności publicznej", to znaczy nie zawierają pornografii. Więc to tylko pornografia ma być obrazą moralności publicznej? A podkopywanie poczucia uczciwości, poczucia wstydu moralnego za brzydkie i niskie postępki — moralności publicznej nie obraża?

Młodziutkich czytelników „Karuzeli" i podobnych piśmideł jeszcze nie interesuje dziedzina erotyki. Jest to wiek żądzy przygód, wiek ucieczek z domu, wiek zabaw w Indian i w zbójców. W tym wieku nie istnieją jeszcze kryteria etyczne, nie odróżnia się czynu złego, a przynoszącego bezpośrednie korzyści, od czynu dobrego. Lektura tego rodzaju przyczynia się do rozluźnienia wszelkich hamulców etycznych, nad których budowaniem pracują zarówno dom jak i szkoła. Przyucza ona dzieci do snucia marzeń o przyszłej swej karierze, jako wolnej od przymusu i wysiłku, ale zato efektownej, pełnej przygód, polegającej na zdobywaniu dóbr życiowych za pomocą kradzieży, podstępu i przemocy, a nie uczciwej pracy. Co więcej, daje pochop do natychmiastowego realizowania tych marzeń o łatwej zdobyczy, połączonej z emocjonującą przygodą, a rzeczywistość świadczy nam boleśnie a wymownie, jak skuteczna jest ta piękna propaganda.

Za późno jest myśleć o etycznym wychowaniu młodzieży w wieku dojrzewania, kiedy już obudziły się zainteresowania erotyczne, o ile wcześniej nie zostało wyrobione podłoże moralne, poczucie prawości i czystości, poczucie wstydu. Jeśli dziś chłopiec uznał, że nie wstyd paradować w skradzionym palcie, delektować się skradzionymi przysmakami, nie płacić rachunku za posiłek, to dlaczego jutro ma być wstyd czytać różne „Bociany" i zachowywać się cynicznie i bezwstydnie w tej dziedzinie życia, która taki przewrót i zamęt wprowadza w dusze dojrzewającej młodzieży?

Tego rodzaju literatura, jak „Karuzela" i pokrewne piśmidła zagraża bezpieczeństwu publicznemu, i w imię profilaktyki psychicznej powinna przestać istnieć, przestać zatruwać dusze dzieci.

Jeśli niema ustawy, któraby pozwalała odebrać debit pismu za gorszenie dzieci, to ustawę taką trzeba stworzyć. Jeśli jest niekompletna, trzeba ją uzupełnić. Tego domaga się życie straszliwą wymową faktów.

Przecież nie o to idzie, żeby pozbawiać dzieci pisma humorystycznego, bo jest ich mało, ale idze o to, żeby to był humor, nie wpływający destrukcyjnie na kształtowanie się pojęć etycznych dziecka. Mamy przecież pierwszorzędnych rysowników-humorystów, był Mackiewicz, jest dziś Walentynowicz, znaleźliby się i inni młodzi artyści, gdyby się do nich zwrócono, zamiast posługiwać się ohydnymi kliszami z zakazanych amerykańskich pism niedzielnych, jak to właśnie czynią owe „Karuzele" i „Światy Przygód".

Istnieją zagraniczne tygodniki gazetki dla dzieci. Angielski „Childrens Newspaper", francuski „Benjamin". Tanie, świetnie redagowane, aktualne, dające zasób rzeczowych wiadomości, a poświęcające również całą kartę humorowi. Ktoś powie: i my mamy „Iskry", „Płomyk", „Płomyczek". Tak, ale „Iskry" są przeznaczone dla młodzieży starszej i uważane przez nią naogół za dość ciężkie pismo. „Płomyk" i „Płomyczek" są zanadto wzorowe i zanadto zbliżone do podręcznika szkolnego, i też za mało w nich jest do czytania.

Już sam format gazetowy „Karuzeli" czy „Świata Przygód" imponuje dziecku. Humor, żywość, aktualność, oto czynniki niezbędne, żeby zainteresować dzieci. Gdy jednak te czynniki wprzągnięte są w służbę schlebiania najniższym

instynktom, siania demoralizacji, zatruwania psychiki młodego pokolenia, społeczeństwo ma prawo wielkim głosem domagać się od władz kompetentnych, aby zło przykróciły.

Na wzmiankę specjalną zasługuje również i styl tych potwornych wydawnictw. Jest to „język Wiecha" ale w najgorszej wersji, zbrutalizowany, strywializowany do ostatnich granic, w rodzaju: „ty łapserdaku, w pięty łechtany" itp. Ktoś z dziennikarzy dowcipnie zauważył, że nie Wiech uczył się od ludku wielkomiejskiego, ale że on właśnie ów ludek tej mowy nauczył. Wiech przestylizował groteskowo gwarę wielkomiejską, a wskutek jego poczytności i popularności przesiąknął jego styl i do szkoły. Młodzież używa „wiechowskich" zwrotów, nie zdając sobie nawet sprawy z ich trywialności i manieryczności. Jako akompaniament jednak do gangstersko-złodziejskich przygód różnych „Karuzel" et consortes, język ten nabiera posmaku jakiejś specyficznie bandycko-przestępczej dezynwoltury, która nadzwyczaj imponuje chłopaczkom i skłania ich do najszerszego naśladownictwa.

Dzieci na defiladzie.

Pod tym tytułem ukazał się w dziale „Szkoła i społeczeństwo" Kurjera Porannego z dn. 16 listopada, artykuł p. Ya, który wymaga jaknajszerszego uwzględnienia, ponieważ stanowi w istocie wyraz „głosu rodziców", w sprawie bardzo aktualnej i palącej.

„Ze wszystkich stron, pisze p. Ya, dochodzą skargi na fatalne skutki, jakie dla zdrowia uczniów szkół średnich i zwłaszcza powszechnych, pociągnęło za sobą wielogodzinne stanie na ulicy w ten mokry, zimny dzień.

Nie są to zresztą bynajmniej pierwsze skargi tego rodzaju. Nie od dziś skarżą się rodzice i nauczyciele na to, że po każdej prawie tego rodzaju uroczystości wzrasta gwałtownie fala zachorowań, klasy świecą pustką, dezorganizuje się nauka szkolna a niejedno z dzieci przypłaca nawet poważną i długotrwałą chorobą udział w obchodzie. Należy się więc na serio zastanowić, w jaki sposób zapobiec temu na przyszłość. Nie odsuwając oczywiście młodzieży szkolnej od uczestnictwa w manifestacjach narodowych, co byłoby dla niej prawdziwą krzywdą moralną i jaskrawą sprzecznością z duchem dzisiejszej szkoły, najmocniej i najbardziej bezpośrednio związanej z życiem — jednak uchronić dzieci od szkodliwych dla zdrowia skutków tego uczestnictwa.

Sprawa jest w gruncie całkiem prosta, „katastrofy" zaś w rodzaju tej, o której tyle się mówi ostatnio, wynikają jedynie z pewnego wyraźnego nieporozumienia. M ł o d z i e ż to nie znaczy: d z i e c i. Młodzież z nielicznymi wyjątkami szczególnie słabych jednostek, może i powinna móc wytrzymać trudy defilady, nawet w warunkach atmosferycznych tak niekorzystnych, jakie nam złośliwy los zesłał w dniu 11 listopada. Ale dzieci przeważnie nie mogą ich wytrzymać i nie należy ich wystawiać na tę próbę, ograniczając się ewentualnie do wysyłania tylko delegacyj czy pocztów sztandarowych, złożonych ze specjalnie odpornych (i specjalnie ciepło ubranych!) „wybrańców", — i to od pewnej granicy wieku wzwyż. Sądzę, że władze szkolne tak właśnie tę rzecz ujmują i że zalecenia niektórych kuratoriów, aby c a ł a młodzież szkolna uczestniczyła w listopadowej defiladzie, wynikły tylko z błędnej interpretacji istotnych intencyj w tym względzie, tak samo, jak nieustępliwość niektórych zarządów szkół w stosunku do umotywowanych próśb rodziców o zwolnienie ich dziecka z udziału w uroczystości".

Cytujemy te słowa w całości, bowiem pod każdym mogą się podpisać tysiączne rzesze rodziców. Niestety, jesteśmy skłonni zapominać, że nasz klimat więcej liczy dni chłodnych i dżdżystych, aniżeli słonecznych. Nasze przepisy mun-

durowe, tak dokładnie przewidujące różne szczegóły wyglądu płaszczy, tarcz, wypustek itp. nie przewidują zabezpieczenia od deszczu i mrozu. Harcerze jedni mają peleryny, ale i to za ciężkie, i nie dające zupełnej gwarancji nieprzemakalności.

Na defilady, obchody, wycieczki powinny obowiązywać specjalne, lekkie i niezbyt kosztowne peleryny ceratowe z kapturem, które naprawdę doskonale zabezpieczają od deszczu, a których cena przy masowym zapotrzebowaniu jeszcze by spadła.

Wszyscy rodzice napewno podpiszą się pod obydwoma wnioskami autorki artykułu, tak autorki, bo choć pseudonim nie ujawnia osoby, to jednak pewni jesteśmy, że słowa te pisała kobieta, i to matka, sercem i doświadczeniem matki rozumiejąca potrzeby młodzieży.

Wnioski te brzmią:

1) Nie posyłać na defiladę dzieci, zwłaszcza młodszych i wątlejszych.

2) Umundurować młodzież szkolną i członków międzyszkolnych organizacyj tak, aby ten mundur istotnie odpowiadał warunkom naszego klimatu.

Chcemy mieć zdrową i silną młodzież. Państwo pragnie mieć zdrowych i dzielnych obrońców. Więc niech radosnych i uroczystych chwil demonstracji narodowych nie zatruwa myśl, że przez udział w nich młodzież nasza i dzieci narażają swe zdrowie, a czasem może życie lub chroniczną nabytą wskutek zaziębienia gruźlicą przypłacają spełnienie nakazu władz szkolnych. A przecież tak łatwo temu złu zaradzić!

J.

Czy naprawdę wszędzie istnieje współpraca domu i szkoły?

Współpracę z domem polecają wyraźnie programy naszych szkół. Istnieje ona i rozwija się pięknie w niektórych szkołach, niestety jednak, zdaje się, że nie stanowią one większości.

Co raz dochodzą nas echa z różnych szkół Rzeczypospolitej, gdzie Dyrekcja jest wyraźnie przeciwna bliższej współpracy rodziców i tworzeniu Patronatów.

Patronaty bowiem w niektórych Kołach rodzicielskich funkcjonują jako jedna z ich sekcyj, w innych zaś pracują samodzielnie; dużo jest jednak szkół, w których Koło istnieje, ale niema Patronatów.

Otóż właśnie współpraca domu i szkoły w dziedzinie wychowawczej może rozwijać się jedynie na terenie Patronatów. Szkoły, w których Patronaty nie istnieją, to właśnie te, gdzie w myśl poglądów, wyrażonych w „Kurjerze Warszawskim" przez przedstawiciela nauczycielstwa, dyrekcja szkolna uważa, że rodzice powinni zajmować się jedynie pomocą niezamożnym uczniom, organizowaniem zbiórek i imprez, wycieczek i zabaw szkolnych, a poza tym sprawę wychowania pozostawić ciału nauczycielskiemu. To są te szkoły, w których uważa się rodziców za intruzów, za element niepożądany, wprowadzający chaos i dezorganizację.

Nie łudźmy się, jest ich wiele w całej Polsce. Jeśli ze strony rodziców widzimy wiele niezrozumienia ważności współpracy ze szkołą, to niestety, stwierdzić trzeba, że tego niezrozumienia jest jeszcze dużo i pośród nauczycielstwa. Przed szkołą otwiera się wdzięczne zadanie urabiania sobie z zastępów rodziców coraz liczniejszych współpracowników w dziele wychowania dziecka. Szkoła powinna podzielić się z rodzicami swoją wiedzą pedagogiczną, powinna im wskazać drogi i sposoby postępowania z dzieckiem.

Inicjatywa współpracy z rodzicami musi wyjść od szkoły. Niewątpliwie, jest to jeszcze jeden ciężar, spadający na barki i tak już przeciążonego nauczyciel-

stwa, ale wysiłek w tym kierunku podjęty, z pewnością nie okaże się płonny, a przeciwnie, przyczyni się do podniesienia atmosfery wychowawczej szkoły i jej promieniowania kulturalno - wychowawczego na szerokie rzesze społeczeństwa.

B.

Potrzeba snu młodzieży, a małe mieszkanie.

Jakże często lubimy mówić z dumą, że człowiek to najdoskonalsza maszyna, najsubtelniejszy mechanizm itd. Ale uznając skomplikowaną doskonałość naszego organizmu jako maszyny, zapominamy niekiedy, że wobec tego musi mieć spełniane niektóre warunki jak każda maszyna, bo inaczej niszczy się, aż do zupełnej niezdatności. O sile napędowej to owszem, pamiętamy, (wszyscy nie lubimy być głodni), choć i to nie zawsze spełniamy najkorzystniej i najbardziej wydajnie w stosunku do siebie jako do „maszyny". Wiemy również doskonale, że każda maszyna, która pracuje, ma swoje chwile odpoczynku, których nie można jej pozbawić, bo poprostu odmówi posłuszeństwa. Maszyna, którą jest organizm ludzki, jest może bardziej wytrzymała na brak odpoczynku i jego nieregularność, ale pozbawienie jej na dłużej regularnych przerw w pracy nie wyjdzie jej napewno na zdrowie i odbije się wyraźnie na wydajności pracy, a przy dłuższym trwaniu, będzie dochodzić do uszkodzeń samej „maszyny".

Tym odpoczynkiem dla organizmu ludzkiego jest sen. Wszyscy wiemy, że jest to obniżenie świadomych procesów psychicznych wraz ze zwolnieniem przemiany materii, że każdy człowiek musi spać pewną ilość godzin, inaczej zużywa i męczy organizm ponad normę, przez co osiąga straty w wydajności swych czynności życiowych. I znowu wiemy, (tylko często w praktyce zapominamy niestety!), że osobnik młody musi mieć snu o wiele więcej, bo jego organizm prócz zwykłych prac ma jeszcze cały proces wzrostu i „dorastania" w obrębie poszczególnych narządów. Zbyt mała ilość odpoczynku i mała jego wartościowość o wiele szybciej i łatwiej zburzy nieustaloną równowagę młodego ustroju, niż da radę ustrojowi człowieka dorosłego, który ma większe zapasy sił i umie rozsądnie gospodarować.

Zdawałoby się, każdy z nas tak świetnie to wszystko wie, że bez potrzeby jest pisanie o tym. Ale jednak jakże mało kto zastanawia się nad tym, pozwalając młodzieży szkolnej siedzieć do późna w noc, mimo, że wczesnym rankiem tak trudno będzie zbudzić ją do szkoły.

I naprawdę istnym utrapieniem pod tym względem są małe mieszkania w obecnej dobie, gdy życie rodzinne ogniskuje się nieraz właśnie dopiero przy kolacji, dorośli członkowie rodziny mówią, że nie mogą „chodzić spać z kurami" i wysyłają młodzież do łóżka. Któż z nas odszedłby bez żalu od ciekawej pogawędki, kiedy to właśnie ojciec opowiada historyjki z biura, a brat student obrazuje bójki na wyższych uczelniach. Niech jeszcze przyjdzie gość, albo nie daj Boże, złoży się bridge, to już „szkoda gadać, przed północą bąki się nie położą" — narzeka matka. Więc „bąki" kibicują, biorą udział w rozmowie, czasem ukradkiem ziewają, kiedy indziej stają się nienaturalnie ożywione i nieznośne, ale uparcie trwają na posterunku, mimo nawoływań do spania.

Zresztą, tak między nami mówiąc, to któż z nas usnąłby, gdy nad głową przelatują mu licytowane szlemiki i cztery bez atu z kontrą, albo dochodzą rozpaczne biadolenia na kryzys czy też „tylko" wybuchy śmiechu i wrzawa.

Patrząc na to chce się wołać z całych sił: ludzie, na miłość Boską, dajcie im spać, przecież tak się bez sensu męczą! Wyrzućcie gości w dzień powszedni, przyciszcie głośniki, mówcie sami ciszej! Niestety, często na to wołanie ktoś odpowiedziałby niechętnym „co tam? Et, głupstwo! i... trzeci pik!" Bo... co tam...

E. R.

„Szlagier” czy piosenka.

„Ostatnia niedziela...” — zawodzi przejmująco cienki, wysoki, głosik dziecięcy.

„...jutro się rozstajemy...” — jeszcze boleśniej, wprost tragicznie odpowiada drugi.

Oglądam się i widzę jak zwolna, ze smętną zadumą na buziach idzie parka dzieciaków, ot, może 7—9 lat, chłopiec i dziewczynka. Dorośli przechodnie uśmiechają się patrząc na nich, niektórzy są jakby zaskoczeni, inni rozbawieni, a czasem... smutni. Dziwnie przykro jest słyszeć „dorosłe” słowa w ustach dziecka i widzieć w jasnych, dziecinnych oczach jakiś wyraz „starych” spraw, może przeczuty, może poddany przez melodię i słowa piosenki, które dziecko nawet nie rozumiejąc odczuwa.

W wielu domach już zupełnie małe dzieci z zapałem wyśpiewują „przeboje” i rozśmieszają tym domowników, niekiedy nawet stanowiąc numer popisowy dla gości. „Twoją będę sercem całym, całym ciałem...,” jakżeż zabawnie brzmi to w usteczkach sześcioletniego bąka, jakież salwy śmiechu wywołuje dziecinne akcentowanie wyrazów i nadewszystko te niewinne oczy d z i e c k a, tak bardzo kontrastujące z tekstem mocno drastycznych brukowych piosenek.

Śpiew prawie dla wszystkich ludzi jest koniecznością wewnątrzną, przyjemnością i ulgą. Dziecko często prawie całe jest śmiechem i śpiewaniem, czyż więc doprawdy nie można w te rozchylone do śpiewu usteczka podać innych słów, naprawdę „odpowiednich”, które sprawią prawdziwą radość i nie będą tak bardzo groteskowe, że aż bolesne?

Niech rodzice śpiewają z dziećmi, a jeżeli ktoś nie zna piosenek to przecież radio urządza audycje „Cała Polska śpiewa”, dzieci napewno posłuchają z ochotą i nauczą się, trzeba je tylko zachęcić, zainteresować i nie robić sobie z dzieci widowiska dając im śpiewać kuplety i szlagiery, bo naprawdę jest to raczej żałosne i mało kogo do śmiechu powinno pobudzać.

Ł. L.

G Ł O S Y M Ł O D Z I E Ż Y.

Do Redakcji naszej zaczynają napływać nietylko głosy rodziców, ale i dorastającej młodzieży, która podobno z żywym zainteresowaniem czyta „Rodzinę i Dziecko” i z zapałem dyskutuje z rodzicami o zagadnieniach tam poruszanych. „Interesuje nas to, co o nas piszą starsi, sprawdzamy czy piszą prawdę — pisze młoda czytelniczka. Jedna z matek komunikuje: „...jakoś nie mieliśmy sobie z moim synem, uczniem kl. VIII wiele do powiedzenia. Na sporcie się nie znam, a jego to głównie interesuje. Zaczął przeglądać „Rodzinę i Dziecko” i zaczęliśmy trochę rozmawiać. Sprawy brane z życia swoje robią, w rozmowie o każdym nowym numerze mamy sobie coraz więcej do powiedzenia. Tylko że mój syn krytykuje wszystko daleko ostrzej”.

Ponieważ w sprawie ocen szkolnych wypowiadają się rodzice i nauczyciele, dopuśćmy do głosu i młodzież. Oto fragment z listu jednej z czytelniczek która niedawno opuściła mury szkolne:

Dużo się już pisało i mówiło na temat stopni, ale dotąd wszystko pozostaje bez zmian, jak było dawniej. Mówi się nam młodzieży piękne zdania jak: „Uczycie się nie dla stopnia, ale dla siebie”. „Wiedza zdobyta w szkole jest podstawą dla całego waszego życia” itd. W praktyce wygląda to czasem trochę inaczej. Uczeń lub uczennica przynosi do domu dostateczny stopień, zwykle następuje tyrada o jego niesłychanym lenistwie i braku ambicji, czasem uwaga, że „ty, to tylko na trójkach jedziesz”, albo gorzkie zapytanie „czy nie można było się trochę postarać i dostać tę czwórkę?”. A przecież ten przedmiot może wcale nie interesować ucznia i wcale nie być potrzebnym mu w przyszłości.

Nauczył się go ile trzeba i koniec, poco chcieć koniecznie, żeby dziecko miało same czwórki i piątki? Czy to jest potrzebne?...

W niektórych domach isnieje zwyczaj dawania pieniędzy za każdą piątkę. Nie mówię naturalnie o dosyć częstych piątkach ze sprawowania, lecz o ocenach z przedmiotów wykładanych. Wtedy taki syn czy córka otrzymuje jakby jeszcze wynagrodzenie, za to, że się uczy dobrze i można się spodziewać, że nie będzie on się uczył jakiegoś przedmiotu z chęci nauczenia się czegoś, ale dla zdobycia koniecznej zawsze gotówki. Stopnie odgrywają bardzo ważną rolę w życiu szkolnym, oceniają one naszą pracę. Ale jakże często stawiane zbyt surowo zniechęcają ucznia i doprowadzają do przekonania, że tego nawet nie warto się uczyć, bo i tak nie dostanie się nigdy lepszego stopnia. Natomiast innym razem stopień postawiony trochę w sposób zwany „na piwo" pobudzi ucznia do intensywniejszej pracy, do zainteresowania się danym przedmiotem i więcej zrobi niż długie przemówienie na temat pożyteczności czy wprost nawet potrzeby tego przedmiotu.

Widzimy więc, że stopnie nie są tylko suchymi liczbami, wykazującymi, że w tym a tym czasie praca ucznia jest tyle warta, lecz, że zbliżają one ucznia z przedmiotem wykładanym.

Ja uważam, że w młodszych klasach stopnie powinny być koniecznie, bo małe, a nawet starsze dziecko nie uczy się zwykle dlatego, że c h c e się ono czegoś dowiedzieć, lecz że tak chcą starsi: rodzice i szkoła. Dopiero w późniejszych latach nauki zjawia się nie narzucone niczym i płynące tylko od ucznia zainteresowanie rzeczą wykładaną. Wtedy stopnie nie potrzebują już pobudzać ucznia do energiczniejszego wysiłku, uczenia się i zarazem poznawania szerzej danego przedmiotu, więc są już zbyteczne. Powinny wtedy być plusy i minusy dla porozumienia się między szkołą a rodzicami, co jest przecież konieczne i mam wrażenie, że one by zupełnie wystarczyły.

MATKA I CÓRKA.

Pani Zofia ma córkę, która uczęszcza na wyższą uczelnię.

— Jeszcze tak niedawno była małą dziewczynką, która ufnie tuliła się w ramionach matki...

— Jadwisiu, o której dziś wrócisz? Czy obiad na zwykłą godzinę?

— Tak mamo, ale zaraz po biedzie wychodzę.

— Dokąd znowu?

— Umówiłam się w kawiarni z koleżanką.

— Dlaczegóż w kawiarni?

— Mieszka w sublokatorskim pokoju, jest skrępowana, a to może przeciągnie się dłużej.

Pani Zofia odprowadza córkę do przedpokoju, przypomina, by kołnierz zapięła pod szyją i wzięła parasol, bo pogoda niepewna. Na idącą przez podwórze spogląda ze smutkiem i wzdycha.

— Jak to się stało i kiedy, że z dziecka córka jej przeistoczyła się w dorosłą dziewczynę?

Pochylona nad jej kołyską podczas długich nocy niespanych myślała o przyszłości.

Ileż wiosen, lat i jesieni dzieli ją jeszcze od chwili, gdy mała dziewczynka stanie się dojrzałym człowiekiem, jej przyjaciółką i towarzyszką.

Nie przewidziała tylko jednego, że ona sama nie zatrzyma się i czekać nie będzie na dorosłość swej córki, a zmiany, które towarzyszą przekształceniu się dziecka w kobietę, te zmiany nastąpią i w niej samej, gdy z okresu dojrzałości przechodzić będzie w stan przekwitania.

— Jest to nieunikniona kolej rzeczy

— pomyślała — ale dlaczego nie możemy się już teraz rozumieć jak dawniej? Co stoi na przeszkodzie?

I pani Zofia wspomina z żalem nawet te chwile, gdy Jadwisia chorowała na szkarlatynę, bredziła w gorączce, a w chwilach przytomności otwierała oczy i szeptała:

— Nie martw się mamusiu, już mi lepiej!

— Dobrym zawsze była dzieckiem, ale bez opieki i starania nie wyzdrowiałaby może...

Pani Zofia żyła pełnią życia przy boku tej maleńkiej istotki.

A dziś... ma chwilami wrażenie, że nie jest już taka potrzebna jak dawniej, a może nawet przeszkadza. Coraz mniej wspólnych nici wiąże je wzajemnie, córka przebywa stale w towarzystwie młodych, czym dla niej stara matka? Chyba tylko po to, by dojrzała obiadu, zreperowała bieliznę, odprasowała zmięty kołnierzyk lub apaszkę, wyprała zamszowe rękawiczki... ależ te drobnostki mogłaby równie dobrze wykonać pracownica domowa...

Nadeszła przełomowa chwila, coś je rozdzieliło i oderwało od siebie. Czyżby lata?

Jadwisia, idąc przez podwórze, czuje na sobie spojrzenie matki.

Ten wzrok, który wyraża utajony żal i troskę.

Jadwisia odczuwa, że od matki „odstała". Nie znaczy to, że jej nie kocha. lecz zdobyła inne, szersze zainteresowania, nie może żyć w ciasnym kręgu rodzinnym.

— Mamusia chciałaby mnie ciągle trzymać przy sobie — myśli z urazą — pewnie zapomniała, że kiedyś była także młoda... dlaczego starsi są tacy niewyrozumiali?

Jakże chętnie zwierzyła by się czasem matce, zasięgnęła mądrej rady, ale nie może, gdyż czuje, że stanowią dwa odrębne światy.

Jeszcze niedawno, gdy szła w towarzystwie koleżanek na zabawę do klubu, matka czekała na przystanku, pełna niepokoju i trwogi.

— Dlaczego tak późno? Czy się co stało?

— Ależ nic, było doskonale, tylko myślałam o tobie, że się denerwujesz, to mi zatruwało całą przyjemność!

— Czyżby się wyrzec wszystkiego? — myśli Jadwisia — ale życie tak nęci, a młodość tyle posiada uroku... Dawniej dziewczęta nie chodziły nigdzie bez opieki, były strzeżone i pilnowane trudno się starszym z obecną zmianą pogodzić!

Jadwisia miała ostatnio przykry zawód, rozczarowała się... „młodość durna i chmurna". Nie mogła sypiać po nocach. paliła światło i czytała.

Pani Zofia z drugiego pokoju upominała:

— Czemu nie śpisz, zgaś lampę.

I Jadwisia leżała po ciemku z otwartymi oczami. Wiadomo, że matka przejmuje się ponad miarę i wszystko wyolbrzymia, z tego powodu niejedno trzeba przed nią ukrywać. A gdy się domyśli, ma żal o nieszczerość i brak zaufania. Chciałaby czasem wyspowiadać się przed matką, zasięgnąć u niej doświadczonej rady, ale przekonała się, że tej tak potrzebnej rady i wskazówki nigdy nie otrzyma.

Pani Zofia wpada w rozpacz, piorunuje na dzisiejsze czasy, na zepsucie, na swobodę obyczajów, gorszy się każdym drobiazgiem, więc lepiej milczeć i przeżywać wszystko w skrytości ducha. A jednak niektóre matki, zna je sama, są najlepszymi przyjaciółkami swoich córek, potrafią zachować młodość wewnętrzną, iść z prądem, wczuwać się w ducha czasu! Jedna jeździ z córką na nartach i odbywa z nią wspólne wycieczki, inna należy do stowarzyszeń społecznych, bierze udział w wieczorach dyskusyjnych — obie z córką mają zainteresowania literackie, odczytują sobie swe prace, to je zbliża i zespala, tak, że zapominają o różnicy wieku. Matka zna życie „w terenie", córka z książek, dopełniają się wzajemnie.

Ale matka Jadwisi jest zupełnie inna. Po za domem, gospodarstwem i macierzyństwem nie posiada innych celów. Był czas, że życie jej mogło być wypełnione w tych warunkach, gdy córka dorosła

wszystko się zmieniło. Pani Zofia czuje niezadowolenie i pustkę, jest istotą skończoną. Wzrok swój zatrzymała na jednym punkcie, przystanęła, a życie i ludzie płyną wartką falą — nikt się na nią nie ogląda.

Pani Zofia nie zdaje sobie sprawy, ze młodość nie lubi być śledzona i podpatrywana. Córka, zostawiona sama sobie, nie nadto krępowana, chętniej nawraca do matki, dzieli się z nią swymi przeżyciami niż ta, która jest więziona tysiącem nudnych, a niemożliwych do wypełnienia zakazów.

Przez cały okres dzieciństwa matka ma pole do działania. Wychowuje wtedy i urabia człowieka, uczy jak żyć, wpaja zasady.

Przychodzi chwila, że staje się obserwatorem, śledzi wyniki swej pracy. Powinna zejść w cień, nie mieszać się w życie córki, żyć własnym, stworzyć je sobie, o ile go nie posiada.

Taką matkę córka zawsze uzna i oceni.

Jeżeli przypadnie jej w udziale rola powiernicy, to powinna być wyrozumiałą i pobłażliwą na wszelkie wybryki młodości, powściągać, hamować, wspomagać własnym doświadczeniem, lecz nie nakładać surowych zakazów, z pod których tak łatwo się wyłamać.

Młodość ma swoje prawa. Nie upadabniajmy się do kur, które wypuściwszy kaczęta na wodę, stoją bezradne na brzegu sadzawki...

Jadwiga Kopciowa.

Z PRASY POLSKIEJ.

Kradzieże w szkołach.

W „Kurierze Polskim” z dn. 24.XI w artykule pod powyższym tytułem omawiana jest jedna z najbardziej niepokojących bolączek naszego życia szkolnego — fakt rosnących kradzieży w szkołach. Cytowany jest felieton Nowakowskiego, który słyszał, że w pewnym gimnazjum w jednym z większych miast polskich zanotowano w ciągu roku 260 wypadków kradzieży.

W większości szkół warszawskich — mówi p. A. Chor. — kradzieże wśród uczniów są na porządku dziennym. Mnożą się również na terenie szkolnictwa średniego. W gimnazjach uchodzących za pierwszorzędne, w których się uczy elita naszej młodzieży, wychowawcy mają ciągle do czynienia z kradzieżami.

A przyczyny? „Nędza, oczywiście przede wszystkim. Zwłaszcza w szkołach powszechnych nędza bardzo często zmusza dzieci do kradzieży i to do kradzieży wszystkiego: ubrania, książek, jedzenia i naturalnie pieniędzy...

„Ale nędza — to jeszcze nie wszystko”.

„Niesłychanie ważną rzeczą jest atmosfera domu. W szkolnictwie powszechnym przynoszą dzieci z domów poglądy... często nawskroś spaczone. Małe oszustwa uważa się za coś w rodzaju dobrego żartu — pod tym względem panuje u nas atmosfera poprostu zatrważająca”.

Zresztą bywają wśród dzieci jednostki o patologicznych skrzywieniach duchowych, które często potrzebowałyby wręcz opieki lekarza. Szkoła zaś nastawiona jest cała na walkę z kradzieżą. Uczeń, przyłapany na gorącym uczynku kradzieży jest prawie tak samo skończony jak w dawnym szkolnictwie. Może nawet bardziej. „Szkoła dzisiejsza jest pod tym względem po stokroć okrutniejsza i bezwzględniejsza, niż dawniej”. Nie można się zresztą dziwić — szkoła musi się bronić...

A mimo to, stwierdza autor artykułu, kradzieże szerzą się coraz bardziej... Jest źle, bardzo źle, a co najważniejsze, jest co roku gorzej.

...Poczciwe książeczki kontrolne...

Sosnowiecki „Kurier Zachodni", z dn. 13 list. b. r. omawiając różne bolączki wychowawcze utyskuje na „grozę książeczki kontrolnej" czyli szkolnego dzienniczka korespondencyjnego.

„Bardzo dużo mówi się dziś o współpracy domu ze szkołą. Aby sobie ułatwić pracę wychowawczą nad dzieckiem, wprowadza się książeczki kontrolne".

Marysia rozmawiała w klasie. Pani zapisuje ją do książeczki i każe ją pokazać nazajutrz podpisaną przez mamusię. Dziecko traci humor, nie uważa na lekcjach, nie bawi się podczas pauz. „Ta nieszczęsna książeczka kontrolna, którą ona sama musi doręczyć mamusi uderzyła w mały mózg, jakby cegła z czwartego piętra spadła na główkę dziecinną"...

„To tak na pierwszy raz. Potem idzie już gładziej... Dzieci książeczki gubią, wyrywają kartki, podpisują same mamusię"...

„Zaczyna się, słowem, taniec kłamstwa i fałszywego stosunku dziecka do rodziców i do szkoły. Poczciwa książeczka kontrolna — ten rzekomy pomost współpracy szkoły — jest dawką trucizny dla nerwów dziecka. A ileż to powoduje w małżeństwie nieporozumień, sporów, kłótni"...

Czyżby tak było w istocie? Zdaje się, że sporo w tym jest przesady. Prosimy rodziców o wypowiedzi w tym przedmiocie.

Autor artykułu twierdzi, że współpraca domu i szkoły winna się opierać na częstym osobistym kontakcie domu ze szkołą. I pod tym względem ma niewątpliwie słuszność. Ale co zrobić z rodzicami, którzy do szkoły nigdy nie zajrzą. Jak się z nimi porozumieć?

Zdaje się, że dramat dziecka z powodu zeszytów korespondencyjnych wynika nie tyle z faktu ich istnienia (które jest konieczne), a raczej z wadliwego ustosunkowania się rodziców do spraw szkolnych i do sytuacji własnego dziecka w szkole. Od rodziców zależy, żeby zapisanie do książeczki nie nabrało charakteru tragedii, nie pociągnęło za sobą utyskiwań, awantur, osobistej obrazy na dziecko: „jaki ty nam wstyd przynosisz", i tym podobnych.

Ale to już wymaga od rodziców, jeśli nie mają wrodzonej intuicji i taktu wychowawczego, żeby się postarali nabyć wiadomości, jak postępować z dzieckiem należy i czego trzeba unikać, żeby nie wypaczyć jego duszy, nie zniekształcić charakteru.

Nie dość powtarzać, choćby tysiąc razy: współpraca domu ze szkołą musi być oparta na zdrowych podstawach wiedzy rodzicielskiej!

Jeszcze w sprawie „Kół rodzicielskich".

„W Kurierze Warszawskim" z dn. 18 listopada br. znajdujemy jeszcze echo dyskusji, prowadzonej w sprawie Kół Rodzicielskich. Są to uwagi p. Borensztadta, Prezesa Tow. Opieki Rodzicielskiej przy uczelniach Zgromadzenia Kupców m. st. Warszawy.

Twierdzi on, i słusznie, że zagadnienie stosunku kół rodzicielskich do dyrekcji Szkół powinno wywołać oddźwięk ze strony możliwie najszerszej ilości Kół, powinno zapoczątkować szeroką dyskusję.

Stwierdza on, że w szkole, którą reprezentuje, współpraca dyrekcji i rodziców nie napotyka na żadne przeszkody, chociaż dotyczy nietylko składek i ich przeznaczenia, ale wielu dziedzin życia szkolnego, więc i bolączek, o ile się takie zjawiają.

Przeciwstawia się stanowczo zebraniom rodzicielskim, w których rodzice radziliby o „różnych niedociągnięciach ciała nauczycielskiego" bez przedstawiciela dyrekcji szkoły. Przy takim stosunku rodziców i nauczycieli niemożliwa byłaby zgodna, harmonijna współpraca, oparta na wzajemnym zaufaniu.

Z PRASY ZAGRANICZNEJ.

Czego pragniemy od szkoły.

W listopadowym numerze „Progressive Education" podaje Ch. K. Cummins sprawozdanie z kursu psychologii praktycznej dla młodzieży męskiej i żeńskiej w wieku lat 17 — 18. Kurs ten poprzedziła ankieta na temat: „Czego się spodziewacie od szkoły". Oto jak brzmiała większość odpowiedzi:

1) Chciałbym nauczyć się dobrze współżyć z innymi ludźmi, i tu następuje wyszczególnienie i uzasadnienie: jak uniezależnić się od rodziców, na to, aby móc ich kochać i rozumieć swobodnie, jak się uwolnić od uczuć wrogości i rywalizacji w stosunku do rodzeństwa, do kolegów, jak postępować w przyjaźni, w miłości, itd.

2) Chciałbym dowiedzieć się, do jakiego zawodu się nadaję.

Zaznaczyć należy, że z lektury poleconej i omawianej na kursie największą poczytnością z książek popularno-psychologicznych, istniejących i u nas cieszyła się książka A. Adlera „Znajomość Człowieka" .

Interesująca szkoła gospodarstwa domowego.

W listopadowym numerze „New Era" z rb. Winifred Harley opisuje pracę w Szkole Gospodarstwa Domowego, przy Oregon College (Am. Półn.). Szkoła ma kurs roczny i liczy przeszło 500 uczennic. Oprócz gmachu centralnego, gdzie się mieści internat, laboratoria, sale wykładowe, biblioteka, szkoła ma trzy domki „rodzinne", gdzie uczennice na przemiany mieszkają zespołami po 6 osób, w ciągu kilku tygodni, prowadząc całkowicie gospodarstwo. Ponadto każdy z tych „domów" adoptuje na przeciąg roku szkolnego po jednym dziecku, które znajduje się pod opieką uczennic.

Obok szkoły mieści się również wzorowe przedszkole i żłobek, świetnie urządzone, prowadzone pod kierunkiem wykwalifikowanych lekarzy i pedagogów. Tu uczennice szkoły gospodarstwa uczą się obserwować dzieci, opiekować się nimi, myć, kąpać, ubierać, urządzać dla nich zabawy.

Znajomość dziecka stanowi jedną z podstawowych nauk w szkole. Prowadzony jest też kurs „Psychologii stosunków rodzinnych", gdzie przeprowadza się analizę czynników, które sprzyjają przystosowaniu się do współżycia rodzinnego oraz czynników emocjonalnych, wiodących do konfliktów w domu rodzinnym, a prowadzących do naruszenia szczęścia zarówno rodziców jak i dzieci.

Oczywiście, studia te prowadzone są bez uszczerbku dla zdobywanych równolegle wiadomości z dziedziny higieny odżywiania, prowadzenia gospodarstwa rodzinnego zarówno jak i zbiorowego, gotowania, szycia i tym podobnych.

Oto szkoła, która daje nietylko te wiadomości, które mogą zapewnić przyszłym domom rodzinnym dobrobyt i wygodę, ale która daje uczennicom przygotowanie do lepszego ugruntowania szczęścia i harmonii rodzinnego współżycia.

Obowiązki rodziców w stosunku do przyszłego zawodu dziecka.

Oto co pisze o tym znany psycholog i pedagog André Berge w listopadowym numerze „Education":

Obowiązek rodziców w stosunku do przyszłego zawodu dziecka polega z jednej strony na obserwacji, z drugiej na przygotowaniu dziecka do życia.

Dziecko rozpruło misia, żeby „zobaczyć co jest w środku". Będzie chirurgiem, mówią, chociby dziecko nie znosiło widoku krwi i ran. Dziecko ma dobry stopień z rachunków. Będzie inżynierem, orzekła rodzina.

Czasem te wróżby rodzinne wpływają, nieświadomie dla dziecka, na pokierowanie jego marzeniami, rojeniami i zainteresowaniami, mogą stać się bodźcem, który zwróci jego upodobania w kierunku jego przyszłego zawodu.

Obowiązkiem wychowawców, rodziców, czy nauczycieli — będzie raczej obserwowanie skłonności i zainteresowań dziecka, a nie zarzucanie mu swoich upodobań i poglądów, swoich życzeń co do jego przyszłej kariery.

Trzeba umiejętnie interpretować zachowanie się dziecka, zarówno jak i wypowiadane przez nie marzenia co do przyszłości. Jeśli chłopiec, który widział pożar i akcję ratowniczą marzy potem o zostaniu strażakiem, marzenie to już jest symbolem pewnego nastawienia w kierunku aktywnej służby społecznej, ale jeżeli np. chłopiec oświadczy, że chce zostać rzeźnikiem, a zapytany dlaczego, odpowie „żeby mieć rower", to tutaj wcale nie znajdziemy zamiłowania do krwawego zajęcia rzeźnika, a poprostu pewien zbieg okoliczności: chłopcu imponował wózek rowerowy, którym pomocnik rzeźnika rozwoził towar.

Jeśli idzie o przygotowanie dziecka do życia, szczególniej ze stanowiska jego przyszłego przystosowania zawodowego, to wielką krzywdę czyni tu dziecku pewien rodzaj postawy negatywnej w wychowaniu, która zaniedbuje czynniki dynamiczne w dziecku, tłumiąc jego inicjatywę i chęć samodzielności, zamiast ją rozwijać. Wychowanie takie idzie po linii owego starego dowcipu: Marysiu, idź zobacz, co robią dzieci i powiedz im, żeby tego nie robiły".

Otóż, żeby dziecko osiągnęło w późniejszym życiu powodzenie w jakimkolwiek zawodzie, trzeba, przeciwnie, zachęcać je do aktywności i do inicjatywy, kierując nim w sposób odpowiedni.

Rodzice powinni sami zdobywać wiedzę o różnych możliwych zawodach, o różnych rodzajach pracy ludzkiej, powinni starać się zainteresować nimi dziecko, żeby się zawczasu przyzwyczaiło myśleć o roli, jaką mu kiedyś wypadnie odegrać w organizmie społecznym.

Można przewidywać przyszły zawód dziecka, ale nie narzucać mu z góry niczego. Naszą rolą jest dopomóc mu, żeby samo zanalizowało swoje możliwości, żeby skrystalizowało swoje upodobania. Obowiązkiem naszym jest nie dokonanie wyboru za dziecko, ale zapewnienie mu warunków, w których samo będzie mogło tego wyboru dokonać.

Młodzież pragnie przywódców.

„Education" podaje w ostatnim numerze wyciąg z interesującego odczytu, który wygłosił P. Garand w „Association Fénelon" pod tytułem „Czego młodzież żąda od swych wychowawców".

Jedną z cech charakterystycznych naszej młodzieży, mówił prelegent, jest jej pragnienie, żeby znaleźć przywódcę, który wiódł by ją w sposób pewny i niezachwiany ku celom jasno i wyraźnie określonym. Młodzież, która wczoraj pragnęła abstrakcyjnego ideału, dziś pragnie wodza: w rękach jego staje się posłusznym narzędziem. Krytycyzm i niezależność sądu, tak cenione przez ich ojców nie zanikły u nich, ale zmieniły zastosowanie: służą dziś do wyboru wodza. Źródła tego dążenia szukać należy w zamęcie umysłów wobec świata, który stał się zbyt skomplikowany, w utracie równowagi, której nie można odnaleźć, ponieważ zawiodły reguły tradycyjne. Trzeba metod narzuconych przez autorytet, a nowa młodzież poddaje mu się, nie żałując utraty swej wolności, tej wolności, za którą ginęli jej dziadkowie, a której nadużyli

ojcowie, aż do doprowadzenia do obecnego stanu zamętu. Młodzież jest niespokojna o swoją przyszłość, jest spragniona ufności i wiary, szuka oparcia u tych, którzy wydaje się, mogą je zapewnić, liczy na człowieka, ponieważ zawiodły ją rzeczy.

Młodzi chcą dziś, żeby ich rozumiano, chcą żeby wódz mówił ich językiem, żył ich życiem, kochał to, co oni kochają: miarą uzyskanego wpływu jest nade wszystko zdobyte zaufanie.

Młodzież wymaga od swych wychowawców, od swych przywódców przede wszystkim bezinteresowności. Chcą człowieka całkowitego, silnego charakteru, chcą szczerości i jasności. Przyjmą skarcenie, nawet surowe, ale odstręcza ich uprzedzenie powzięte z góry, niewiara w ich możliwości poprawy, która ich pomniejsza, nie pomagając im do rozwoju i postępu. Chcą jasnych, prostych dyrektyw, prostych dróg: chcą zdobyć powodzenie, a nie upajać się marzeniami, chcą żyć, a nie myśleć tylko o życiu.

Młodzież jest surowa dla swych przywódców, jest nieubłagana, gdy zdemaskuje nieszczerość, nie przebacza miernoty, ani złej wiary. Ten jednak wychowawca, twierdzi prelegent, który zrealizuje ich ideał, znajdzie wśród młodych materiał podatny, oddany, gorący i zdobędzie wpływ ogromny.

Szkoła bez stopni.

W części drugiej listopadowego numeru „Education", przeznaczonej dla nauczycieli, opisana jest bardzo interesująca szkoła eksperymentalna w Bellevue-Meudon, szkoła bez stopni.

Oto co pisze pani Roubakine, jej założycielka i kierowniczka: „50 do 80% dzieci w szkole oszukuje: i nic w tym nie ma dziwnego. Dobry stopień stanowi cel zarówno dla dziecka jak i dla rodziców, i trzeba go zdobyć wszelkimi środkami.

Dwie są strony oszustwa szkolnego: 1) naturalne uczucie solidarności, wzajemnej pomocy, w którym klan uczniowski przeciwstawia się władzy, broniąc się przeciwko niej wszelkimi środkami, kiedy właśnie szkoła powinna tworzyć atmosferę zaufania i współpracy; 2) konieczność klasyfikacji, narzucona przez ustrój szkolny, ustrój wadliwy, stopnie bowiem są środkami porównawczymi, a wychowanie nie powinno dążyć do porównywania uczniów między sobą: prowadzi to tylko do zniechęcenia dzieci mniej uzdolnionych. Rodzice również nie przyjmują w tej sprawie należytej postawy, ich wzrok nie sięga dalej, niż uzyskanie dobrego stopnia.

Utopią jest apelować do poczucia moralności uczniów, zarzucać im oszustwo, wtedy kiedy się samemu przygotowało grunt, gdzie rozwija się ono w sposób naturalny i nieunikniony.

W szkole Bellevue-Meudon dziecko bywa porównywane tylko ze sobą samym, a nie z kolegami. I znów byłoby utopią, że zadowolenie z sumiennie spełnionego obowiązku wystarczy dziecku: trzeba innego bodźca, ale nie powinien się on stać terenem do zawiści i oszustwa. Bodźcem tym u nas jest poczucie postępu. Każde dziecko ma swoje wykresy: wykres uwagi, pilności, osiągniętych rezultatów. Dzieci lubią obserwować, jak przebiegają te różne krzywe, wiedzą jak powinny się podnosić, wiedzą, co czynić należy, aby ten wynik osiągnąć i czynią to chętnie.

Lubią metodę wykresów i stosują je sami do swych prywatnych zagadnień: co tydzień pracują nad inną stroną swego charakteru. Jest tydzień koleżeństwa, tydzień uprzejmości, tydzień dobrego humoru... Dzieci czynią wysiłki z całej duszy i rado-

śnie, sumiennie prowadzą swoje wykresy, i żadna sztuczna konieczność nie skłania ich do dawania sobie ocen zbyt korzystnych. Uczą się sami siebie oceniać, i oprócz wyraźnej korzyści moralnej, jaka stąd płynie, zaznaczyć należy również, że metoda taka staje się wielkim ułatwieniem przy wyborze zawodu. Kolegów swoich również uczą się cenić, nie według osiągniętych pozorów powodzenia, a według prawdziwego wysiłku.

„MIGAWKI".

Pod koniec roku synek państwa M. przeszedł do II klasy. Zbliżał się czas upragnionego wyjazdu w góry, wszystko było już prawie gotowe, ale niestety państwo M. jako staranni wychowawcy i rodzice gorliwi w stosunku do zaleceń szkoły mieli ogromne trudności z wynalezieniem zadanej na lato lektury. Pomiędzy innymi nauczyciel historii polecił chłopcom przeczytać Smolki: „Mieszko I. (Średniowiecze)".

Matka poruszyła wszystkie księgarnie i biblioteki w Krakowie, zwróciła się do Warszawy, wreszcie po wielu trudnościach i kosztem paru dni odwleczonego wyjazdu zdobyła upragnione książki. Materiał państwo M. rozplanowali wzorowo na cały okres wakacyj i oboje wytrwale pilnowali codziennej pracy Zygmusia czytając z nim razem. Dzieciak a wraz z nim i rodzice mieli zdecydowanie zatruty wypoczynek „ratami" lektury. Wreszcie przebrnęli przez te wszystkie udręki i na 1-go września Zygmuś był już całkowicie uzbrojony i przygotowany do krucjat krzyżowych. Ale w całej klasie tylko dwóch uczniów czytało tę lekturę, a wogóle nauczyciel zupełnie nie pytał o to.

Cóż dziwnego, że w duszy Zygmusia wezbrała gorycz i żal o te wszystkie upalne dni męczenia się nad książką, o tę atmosferę domową nabrzmiałą odgłosami średniowiecznej zbroi i zgiełkiem rycerstwa i o wszystkie popsute wycieczki i odebraną rozkosz zupełnego odpoczynku.

Czy nie w ten sposób wpływa się demoralizująco na młodzież i dom, aby lekceważyły sobie polecenia szkoły?...

*
* *

W pewnej szkole z ogromnym nakładem wysiłków urządzono odczyty dla rodziców na tematy aktualne i opiekunki klasowe miały o tym powiadomić rodziców. Jedna z nich na zapytanie, jak tę sprawę załatwiła w swojej klasie, odpowiedziała niedbale: — o nie, ja nie zawiadamiałam, bo w naszej klasie i tak się nikt nie interesuje tymi sprawami.

Czy nie zbyt pochopne rozstrzygnięcie? I czyż będzie można bardzo się dziwić uczniom tej klasy, gdy zawiadomienia przeznaczone dla rodziców, nie zanosząc ich do domu, wyrzucają poprostu do śmieci, jak to się dzieje niestety w wielu szkołach?

*
* *

Obecnie według programu nowego gimnazjum istnieje dla uczniów bardzo wiele zajęć nieobowiązkowych po południu w szkole. Zajęcia te można sobie zupełnie dowolnie wybrać, zapisać się na jedne, na inne nie, słowem uczeń sam decyduje. Jednak na zebraniu rodziców w pewnej szkole ktoś zwrócił uwagę, że w czasie trwania tych zajęć — niektórzy uczniowie spośród zapisanych widywani są na mieście, słowem najzwyczajniej „wagarują", podczas gdy nic nie przeczuwający rodzice myślą, że dzieci są w szkole pod dobrą opieką. Trzeba by więc stworzyć jakąś kontrolę, żeby, jeżeli dziecko zapisze się na przedmiot, istotnie nań uczęszczało.

Kilka matek zaprotestowało gorąco przeciwko temu projektowi — och, to właśnie straci wtedy cały czar dowolno-

ści, który tak pociąga! — tłumaczy pani N. — Uczniowie wtedy nie będą chcieli wogóle chodzić na te zajęcia, a jakżeż się wspaniale wypoczywa po obiedzie wiedząc, że dzieci są zajęte czymś pożytecznym... — kończy z rozbrajającym uśmieszkiem.

Jakże niechętnie człowiek rozwiewe iluzję przeciwną swojej wygodzie.

*

* *

— Józiu, tak bardzo brzydko piszesz — narzekał nauczyciel sprawdzając „robotę domową" w szkole powszechnej.

— Józiu, jesteś niedbały, nieporządny, tak dłużej być nie może! Spójrz jak ten zeszyt wygląda — irytowała się nauczycielka.

Józio stał zawstydzony, z głową spuszczoną, nerwowo skubiąc brzeg bluzy. Wreszcie zawezwano rodziców chłopca. Przyszedł ojciec, potulnie słuchając zagniewanej nauczycielki wywijającej przed nim zakleksanym zeszytem. — Niech państwo zwrócą na niego uwagę jak odrabia lekcje. Trzeba go pilnować przecież.

Aż raz nad wieczorem, „pan", który bardzo lubił Józia, zaszedł do niego do domu zobaczyć jak mieszka i jakie ma warunki pracy.

Józio akurat odrabiał lekcję. Zeszyt chłopca leżał na stolnicy opartej na kołysce z najmłodszym braciszkiem, a nad tym jasna główina pochylona nisko, tuż nad papierem, mozoliła się nad jakimś zadaniem, usiłując jednocześnie pisać możliwie pięknie, żeby znowu w szkole nie krzyczeli.

A od komina szło ku niemu bardzo kochające i bardzo smutne, zatroskane spojrzenie matki, która właśnie „zwracała uwagę" jak syn pracuje w domu.

*

* *

Ktoś kiedyś porównał pracę rodziców w szkole do sublokatorów i właścicieli mieszkań. Pytamy o bliższe wytłumaczenie, podał następujące:

Ano, współpraca rodziców ze szkołą jest oczywiście bardzo pożądana, każdy dyrektor chce ich mieć jak najwięcej i żeby możliwie dużo pracowali, punktualnie płacili składki, ale z jednym małym warunkiem, żeby się ich obecność w szkole mało odczuwało. Zupełnie jak gospodarz lubi mieć sublokatora, ale... lubi go widywać tylko... co pierwszego i poza tym możliwie mało... odczuwać jego obecność.

„Iks".

RODZINA I DZIECKO

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WYCHOWANIA DZIECKA W DOMU, W SZKOLE I W ŚRODOWISKU.

Redaktor i Wydawca: **JANINA RENDZNEROWA**

Prenumerata wynosi: kwartalnie (3 zeszyty) — zł. 2.40
rocznie (10 zeszytów) — zł. 7.50

PRENUMERATA ULGOWA DLA KÓŁ RODZICIELSKICH
opłacających prenumeratę zbiorową (od 10 egzemplarzy)
wynosi 70 groszy za numer

Cena numeru pojedyńczego 1 zł.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, Zakopiańska 31, tel. 10.05-11

(godz. 8 — 10 i 16 — 17). Konto P. K. O. 14020

Konto pocztowe do przekazów rozrachunkowych 732

Zgłoszenia osobiste w sprawach redakcji i administracji Świętokrzyska 30 m. 8, tel. 6.40-53, w poniedziałki, środy i piątki w godz. 13 — 14

Prenumeratę przyjmują również wszystkie większe księgarnie w Warszawie.

Rękopisów niezamówionych Redakcja nie zwraca; prace winny być pisane na maszynie na jednej stronie arkusza

Zakłady Graficzne „DRUKPRASA", Warszawa, Nowy Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40